Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1884. Rok VII.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

# O znikaniu niektórych gatunków krajowych zwierząt.

Przez

Michała Wierzbowskiego.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że niektóre gatunki zwierząt coraz bardziej wymierają i są bliskie zniknięcia z powierzchni ziemi, lub przynajmniej niektórych jej okolic. Tak żubr, łoś, bóbr, kozica, świstak są zwierzętami bliskiemi u nas zupełnej zagłady, jak się to już stało z bobakiem (*arctomys bobac* Pall.). Główną, ale nie jedyną przyczyną, która spowodowała zbytnie przerzadzenie zwierząt, jest prześladowanie, jakiego doznają od człowieka. Więcej jednak czynników musiało się na to złożyć, gdyż, jak widzimy, inne zwierzęta mają w człowieku swego nieprzyjaciela i prześladowcę, a mimo to żyją i rozmnażają się dość licznie. Wszak zając, lis, wilk, dzik są na każdym kroku i miejscu przez człowieka tępione, a pomimo to są stosunkowo dość liczne. Gdzie więc należy szukać przyczyny wygasania niektórych gatunków zwierząt? Prawda, każdy prawie z tych z nielicznych gatunków wydaje nieliczne potomstwo, lecz i ta okoliczność nie jest jeszcze wystarczająca. Prawdopodobnie tedy inna jest przyczyna. Wiadomo, że każde z wymienionych rzadkich zwierząt (żubr, bóbr, kozica, świstak) mieszka u nas na niewielkim stosunkowo obszarze. Zwykle jest to szczupła dzielnica, otoczona dokoła obszarem, niezdatnym na mieszkanie zwierza. Tak np. żubr żyje tylko w puszczy Białowieskiej, więc na przestrzeni tylko dwudziestu kilku mil kwadratowych, bóbr w błotach poleskich, kozica i świstak w Tatrach. Wymienione zwierzęta nie mogą posuwać się przez granice, zakreślone ręką natury, gdyż opuściłyby warunki, sprzyjające ich bytowi, i byłyby skazane przez to na niechybną zgubę. U zwierząt jest to właściwem, że każdy gatunek, w stanie dzikim żyjący, jest ściśle związany z miejscowością lub obszarem, w którym żyje, gdyż właściwości danego obszaru dają mu możność zwyciężania w walce z licznemi przeciwnościami. Zwierz więc taki, gdzieindziej przeniesiony, staje się nieporadnym, nie mogąc od razu się przystosować do nowych warunków, z tego więc powodu prędzej ginie od gatunków tamże zrodzonych. Tak kozica (pominąwszy tę okoliczność, że jej organy są zastosowane do gór) nie utrzymałaby się teraz na Podolu, a łoś i żubr na Ukrainie, gdyż brak im tam odpowiednich warunków, któreby były pomocne w walce o byt. Zwierzęta, żyjące na nieznacznym obszarze, mogą się tylko na nim obracać, gdzieindziej przeniesione, musiałyby wyginąć z prostych całkiem przyczyn, jak z powodu większego zaludnienia, małych ilości miejsc, zdatnych na schronisko i t. p. Tak bywały przykłady, iż kozica tatrzańska, zapędzona w równiny, stawała się nawet mimo licznych miejsc, dających jej schronienie, nieporadną i z tego powodu musiała ginąć bądź od ludzi, bądź od zwierząt. Widzimy atoli, że i na uprzywilejowanym, nieznacznym obszarze, nie mogą zwierzęta wspomniane z pomyślnym skutkiem się rozmnażać. Uwzględniwszy nawet, że zwierzęta te rodzą nieliczne potomstwo (żubr ledwie co trzy lata jedno młode, kozica co roku jedno, bóbr 2—5 młodych), to przecież przyrost

ich okazuje się zbyt mały w stosunku do płodności. Nasze żubry białowieskie, a kozice i świstaki tatrzańskie, mimo opieki prawa, rozmnażają się bardzo słabo. Cóż być może tego przyczyną? Wszak inne zwierzęta mimo prześladowania, jakiego doznają, silnie się rozmnażają, np. lis, zając, wilk. Otóż przyczyny trzeba tu szukać w tej okoliczności, którą genialny Darwin zauważał przy badaniach swych nad gołębiami. Mianowicie spostrzegł on, iż gołębie z jednego gniazda pochodzące, mięszane i łączone między sobą, nie wydają licznego potomstwa, albo przynajmniej nie rozmnażają się pomyślnie. Gołębie pochodzące z jednego gniazda, długo pomiędzy sobą łączone, marnieją i z czasem wymierają. Czy coś podobnego nie zdarza się u powyższych gatunków zwierząt? Czy żubr ograniczony na puszczę Białowieską, od wieków łącząc się z mieszkańcami tej samej puszczy, nie jest w podobnem położeniu, jak gołębie z jednego gniazda pochodzące, w jednym gołębniku mieszkające? Albo kozice w Tatrach, odosobnione dokoła dolinami, liczebnie ograniczone, łącząc się tylko między sobą, czy nie mogą być uważane za jedną familię? A jeśli tak jest, czy nie ma tu zastosowania przyczyna zdegenerowania gołębi? Dla rozmnożenia potomstwa gołębi, łączy się je z gołębiami pochodzącymi z innego gniazda, tylko takie łączenie obcych sobie osobników nadaje siłę i moc potomstwu. Zróbmy to samo z naszemi rzadszemi zwierzętami. Dla kozic tatrzańskich sprowadźmy kozice alpejskie lub siedmiogrodzkie; dla żubrów Białowieskich żubry z Kaukazu, a jeśliby tych dla rzadkości dostać nie można, użyjmy bizonów amerykańskich; dla bobrów nad Prypecią sprowadźmy bobry z Ameryki północnej; spróbujmy, niech się łączą, a jeśli wydadzą zdrowe i silne osobniki, wówczas poniesiony trud i koszta sowicie się wynagrodzą.

Zwracam uwagę na jedną jeszcze okoliczność. Zwierzęta ssące w czasie rui odbywają walki miłośne. Te walki są bardzo potrzebne, one bowiem dając przewagę osobnikom zdrowym i bogato uposażonym nad osobnikami słabowitymi, tem samem przyczyniają się do wydania silnego potomstwa. Przypatrzmy się, czy walki miłośne na wielką skalę mogą istnieć u naszych rzadkich zwierząt? U nas, jeśli polują na jelenie, łosie, sarny, to ze względów łowieckich biją zawsze samce, w skutek czego ilość ich, wycieńczonych prześladowaniem, zredukować się musi do minimum. U tych właśnie samców, mniej licznych niż samice, walki miłośne nie mogą odgrywać przynależnej roli. Tym sposobem potomstwo, zrodzone z nędznych rodziców, staje się jeszcze nędzniejszem. Te dwie przyczyny: łączenie się między sobą osobników z jednego gniazda i brak walk miłośnych na większą skalę, są główną choć nie jedyną przyczyną wymierania naszych zwierząt, ograniczonych na małych przestrzeniach. Sprowadzenie pewnej ilości zakrajowych zwierząt, osobliwie młodych samców, zdrowych i silnych, zapobiegłoby może znikaniu z widowni rzadkich zwierząt. W każdym razie należałoby wprzód na bobrach dokonać próby, europejskie bobry łącząc z amerykańskimi, na mniejszą skalę, w stosownym ogrodzie lub parku, przy zupełnej jednakże wolności zwierząt, a potem, jeśli wyniki okazałyby się pomyślnymi, zastosować i rozciągnąć postępowanie do innych gatunków. Niejeden bogaty właściciel dóbr mógłby tem oddać ważną przysługę krajowi. Poddaję ten projekt pod rozwagę naszych naturalistów, jeśli uważają, że ma on jaką słuszność za sobą, niech wydadzą o nim swój wyrok.

*(Wszechświat Nr. 3. 1884.)*

# KOCIOŁ

## Jezioro we wsi Ratajach pod Gostyninem leżące w gubernii Warszawskiej.

(Z podania.)

W podaniu ludu, choć go wieków cienie
Mroczą, wciąż żyje wielkiej prawdy władza,
Bo z pokolenia idąc w pokolenie,
Jak feniks z własnych szczątków się odradza!

Gostyńska ziemia, przed dawnymi czasy,
Łowami królów i książąt słynęła [1]),
Obfita w żyzną glebę, wody, lasy,
Mlekiem i miodem, jak mówią, płynęła.

Wonczas królowie — powiadają dzieje,
Pomni na chwile wesoło spędzone,
Darząc ją hojnie w łaski, przywileje [2]),
Nierzadko z dworem zjeżdżali w tę stronę.

I głośną wrzawą nad szerokim borem [3])
Brzmiała po kniejach wesoła drużyna,
Kończąc królewską zabawę wieczorem
Wspaniałą ucztą w zamku Gostynina [4]).

Od tego zamku odległa o staje,
Idąc wśród topol jakby korytarzem
W stronę gdzie stoi kościółek z cmentarzem,
Leży obszerna włość — zwana Rataje [5]).

Wprost, jeśli spojrzeć z cmentarnego wzgórza,
Dokoła widna cała okolica,
W lewo zaś góra nieco się przedłuża
I na niej stoi biały dwór dziedzica.

---

[1]) Z pomiędzy rozmaitego rodzaju podatków po dziś dzień pozostał jeden *Osep* zwany, którym to miasto obowiązane było dawać rocznie 300 korcy owsa, przeznaczonego na osypkę dla psów królewskich. Rząd rossyjski zamienił go na opłatę pieniężną.

[2]) Najdawniejszy przywilej, jaki znajduje się w archiwum ratusza miejskiego, jest z czasów Ziemowita, księcia Płockiego, do którego to księstwa i ziemia Gostyńska należała. Ten książę nadał w roku 1382 miastu Gostyninowi *Jus theutonicum plenum.* Po śmierci jego Kaźmirz Jagiellończyk wcielił to księstwo do korony w 1442 roku. Następcy jego również obdarzali Gostynin coraz nowemi nadaniami.

[3]) W *Lustracyach za 1566 rok* znajduje się: „Jest ku Gostyninu puszcza wielka, zwierza różnego pełna“ i t. d. Dziś niewielki bór okala to miasto.

[4]) Tuż obok miasta na wzgórzu stał niegdyś niewielki łowiecki zamek królów polskich. W tym to zamku Zygmunt III więził cara moskiewskiego Wasyla Szujskiego i brata jego, wziętych do niewoli po wojnie 1611 roku, gdzie obadwaj pomarli, jak świadczy sepultura znajdująca się w farnym kościele. Dziś z tego zamku pozostała czworoboczna wieża, „wieżą Szujskich“ zwana, gdzie obecnie mieści się dzwonnica ewangielickiego kościoła tuż obok przybudowanego.

[5]) Obecnie własność p. Feliksa Higersbergera.

Obok w okrągłej dolinie rozlane,
Jak lustro w ramy piaskowe ujęte,
Lśni się jezioro Kotłem tu nazwane,
O niem to prawią dziwy niepojęte [1]).

Otóż w tem miejscu, jak niesie podanie,
Na górze w koło otoczonej borem,
Stał dawny zamek, starosty mieszkanie,
W nim on przebywał z licznym swoim dworem.

Zsiwiały w bojach, w późni wieku swego
Pojął małżonkę zacną z krwi i z rodu,
Z nią ciche szczęście słodziło wiek jego,
Szczęście, jakiego nie zaznał za młodu.

Nieraz gdy książę, zjechawszy na łowy,
W gronie swych dworzan starostę nawidził,
Grała kapela, grzmiał moździerz godowy,
A wzrok każdego piękną panię śledził.

Niejedno serce żywiej uderzyło,
Kiedy spojrzenie jej modrego oka
Na kogo z grona wdzięcznie się zwróciło,
Jak promień słońca, co spłynął z obłoka!

Był w gronie księcia młodzian. Powiadali,
Że przybył pono aż z zamorskiej ziemi;
Możniejsi bracia z kraju go wygnali,
Więc się też tułał pomiędzy obcemi.

Układny dworak, przytem urodziwy,
Nie mógł się oprzeć wdziękom młodej pani,
I dotąd prawił, aż poznał szczęśliwy,
Że był nawzajem równie miłym dla niej.

Raz, gdy już książę po skończonych łowach
Do swej stolicy miał wracać ze dworem,
Zdyszany goniec przybył z wieścią w słowach,
Że wróg z zachodu nadciąga taborem.

Wdział świetną zbroję starosta sędziwy,
Przypasał szablę w bojach poszczerbioną,
A gdy już pod nim zarżał rumak siwy,
Pożegnał z konia małżonkę zemdloną.
Ruszył, a za nim chorągiew pobiegła
I cisza zamek dokoła zaległa.

Jak z wiatrem fale, biegły dnie za dniami,
Pędzone czasu niezłamaną siłą,
A zamek cichy, omszony lasami,
Zdawał się czarną, potężną mogiłą.
Bo jego pani w milczącej boleści
Z modlitwą czeka z pola boju wieści.

Już dawno księżyc w złocistej przyłbicy
Niepewnym blaskiem oświecał krainę,
A stary zegar z zamkowej wieżycy
Wybił wśród ciszy północną godzinę,

Gdy ktoś donośnie, kląc porę spóźnioną,
W zamkową bramę trzykrotnie uderza,
I gdy z łoskotem biamę otworzono,
Dwóch ludzi wniosło rannego rycerza.

Po chwili w zamku dokładnie wiedziano,
Że rycerz w boru został napadniony,
Że ranny w głowę, którą przewiązano,
I nie chce mówić, po co szedł w te strony.

Wnet starościna po krótkiem wahaniu,
Wsparta nadzieją, swój przestrach zwycięża,
Bieży w radośnem serca przekonaniu,
Że on jej wieści przywozi od męża.

Z bijącem sercem przed rycerzem staje,
Chcąc go zapytać o męża i pana,
Gdy nagle drżąca spojrzawszy — poznaje —
Z orszaku księcia znanego młodziana!...

---

Rok dawno minął. Wiosenne promienie
Skrzepłą od śniegów budziły naturę,
I tylko czasem lekkie wiatru tchnienie
Przerwało lasów milczenie ponure...

I w mieście cisza panuje dokoła,
Bo lud z kościołem we wspólnej żałobie,
Bije się w piersi, kornie chyląc czoła
I łzami wita Zbawiciela w grobie.

Tylko na zamku, gdy wieczorne cienie
Spadły powłoką na ziemię strudzoną,
Gorzały świateł jarzących płomienie,
Brzmiało weselem biesiadników grono.

Swawolne pieśni ożywiały gody,
Dźwięczały struny wędrownych gęślarzy,
Szumiały stare w rostruchanach miody,
Barwiąc szkarłatem rozognione twarze.

Na czele młodzian w cudzoziemskim stroju,
Niegdyś do zamku przyjęty w gościnę,
Z złocistą czarą słodkiego napoju,
Pieścił w objęciu piękną starościnę.

Gdy wnet gwałtownie zadrżały podwoje,
Zdumieni słyszą chrzęst grobowych kości,
Wśród sali stanął rycerz w świetnej zbroi
I grzmiącym głosem przemówił do gości:

„Zgrajo piekielna! jam do was posłany
„W imieniu kary Boskiego narzędzia!“
Poskoczył młodzian wściekłością miotany:
„Ktoś ty zuchwały? Precz z nim!“ — „Jam wasz sędzia!“

„Z rozkazu Tego, co śle śmierć i życie,
„Tego, co w piekłach potępił szatana.
„Zmarłego w więzach przed sobą widzicie
„Prawego, niegdyś tego zamku pana!“

„Starosta!“ — głosy drżącymi szeptano.
„Ha! więc mię znacie, nieproszeni goście?
„Cień mój z za grobu do was wywołano,
„Bym dusze wasze pchnął w wieczne ciemności!

„Słuchaj młodzianie! — rzekł głosem stłumionym:
„Tyś mi za życia zgotował katusze,
„Tyś pocałunkiem krwią moją splamionym,
„Skalał podstępnie niewinną jej duszę!

[1]) Podanie to znane pomiędzy ludem Gostyńskim, znalazło wielu łatwowiernych, którzy najświęciej twierdzą, że przed 50 laty sami nieraz słyszeli głosy jakby z głębi jeziora wychodzące.

„Kiedym słał gońce, by w mojem imieniu
„Wrogowi okup z mych włości zbierali,
„Kazałeś wszystkich zamorzyć w więzieniu,
„By o mym losie jej nie powiadali!

„Tyś o mym zgonie śląc kłamane wieści,
„Chciał ślubnym związkiem swej zbrodni dokonać,
„Gdy ja z rozpaczą, w podwójnej boleści
„Konałem w więzach i nie mogłem skonać!

„Tyś brudną zgrają mój zamek zaplenił,
„Przybytkiem zasług i cnoty słynący,
„I strasznej zbrodni potęgą zamienił
„W piekielny kocioł potępieniem wrzący!

„Przeklęty!“ — zagrzmiał — „o biada ci biada!“
Wnet jękiem wiatru zawyli szatani,
Z głuchym łoskotem zadrżała posada
I zamek zniknął w rozwartej otchłani.

---

W tej rozpadlinie, gdzie straszliwa zbrodnia
Znalazła karę — stanęło jezioro,
Przejmując trwogą każdego przechodnia,
Co śmie w tę stronę iść wieczorną porą.

Lud okoliczny dał mu „Kotła“ miano,
Wierząc niezłomnie, że w tych stron obrębie
Żadnego śmiałka dotąd nie widziano,
Coby chciał zajrzeć w tę bezdenną głębię.

Mówią, że długo wieczorem spóźnionym
Słyszano w głębiach i wrzawę i jęki,
Dotąd aż obok na wzgórzu zielonem
Stanął kościółek z godłem świętej męki [1]).

Żadnego trupa stąd nie wydobyto [2]),
Żaden tu rybak nie zarzucał sieci,
Wszystko w tej głębi tajemnej ukryto,
Podanie jedno tylko nad nią świeci!

*E. S. Z.*

---

[1]) Nad jeziorem, na pochyłem wzgórzu jest cmentarz ze starym kościółkiem św. Jakóba, w bardzo malowniczem położeniu.

[2]) Prawdopodobnie jezioro to musiało się sformować w skutek wstrząśnień wulkanicznych, brzegi ma zwolna spadziste na przestrzeni jednego sążnia, dalej zaś jest głębia nadzwyczajna; kształt zupełnie okrągły, obwodu mający około 700 sążni. Podczas mej bytności właściciel sprowadził z pobliskiego Płocka dwóch nurków, którzy po dość długiem badaniu przynieśli wiadomość, że w głębinie natrafili na wierzchołki drzew, ale dla wielkiej ciemności nie mogli dojrzeć żadnych szczegółów. Puszczono zatem z czółna linę z ołowianką 130 sążni długą, ale i ta dna nie dosięgła. Nie było przykładu, by utopiony człowiek lub zwierz wypłynął kiedy na powierzchnię wody. Powiadają ludzie, że można czasem widzieć ryby niezmiernej wielkości, rzucające się z wody, ale nikt nie próbował połowu tak ponętnego.

# SPOTKANIE

PRZEZ

**Kaźmirza hr. Wodzickiego.**

(Ciąg dalszy.)

Niekiedy zarzeknie psotnica myśliwego na krótki czas, ale czasem zarzeknie też na długie lata, a wtedy odziać się on musi żałobą; usunie jeden gatunek zwierza, podsunie drugi, szczęści w pierzu, płoszy szerść i futro; pozwala celnie strzelać, to znowu w drugim roku każe z tej samej strzelby chybiać; przyprowadza zwierza wolnym chodem na jasne pole, lub też z gąszczu nie wypuści i pędzi go jak opętanego tak, że go na cel wziąć nie można. Rób co chcesz, zgłębiaj nauką, grzeb w długoletniem doświadczeniu, nic nie pomoże, wyrok wydany, nic nie zabijesz. Zagadkowe zaiste zdarzają się zjawiska. Ów stoi spokojny, nieroztargniony, zatapia wzrok bystry w głęboki miot, przeszywa okiem jego zakątki i kryjówki, i cóż widzi? Drzewa poruszane powiewem powietrza, szeleszczące gdyby arfa Eola, gałązkę kołysaną wiatrem, ściągającą jego uwagę, spadające ze szmerem liście, widzi skrzętne sikorki, kującego dzięcioła, mysz świdrującą w śniegu, ospałą snem zimowym muchę, brzęczącego komara. Zdawałoby się, że Silwan, Diana, gnomy, silwanki i cały dwór bożków leśnych z satyrami szatańskim uśmiechem mi urągają, ciesząc się z tortur, mąk i mojej niemocy. A Sylwan jest opiekunem zwierzyny, jej hodowcą. Znałem towarzystwa myśliwskie, w których pewni członkowie takie mieli spotkanie na polowaniu, że dla innych zabrakło zwierzyny, oni byli niebieskiemi ciałami, my trabantami, oni aktorami, my publicznością. Jakżeż niejeden z nich się zachowywał? Wygodnie rozparty jakby w fotelu, siedząc na krześle, puszczał kłęby dymu z wonnego tytoniu, przebierał nogami, szukał po kieszeniach, patrzał na zegarek, drapał się. A jednak tacy zaczynali od strzelania do grubego zwierza, kończyli na zającach, cisnących się im pod nogi. Faworyty Diany! Tą leśną drożyną nikt nie jeździ, śladu kół nie znać, a jednak w dniu fatalnym zaturkotał tam wóz i rzucił zwierzynę w boczne strony. W miocie cicho, nie ma tam nikogo, a oto nagle zjawia się chłopisko, wyrąbał widełki i poszedł, ale spłoszył zwierzynę. Ileż to razy, gdy gon się poczyna, słyszymy przed sobą rąbanie. Na cóż się przyda rozwaga i przezorność, tak się stać musiało, bo tak zrządziła psotnica. I ja też nieraz byłem igraszką czarodziejskich sił leśnych, torturami prześladowany, zniechęceniem przejęty, moralnie zgnębiony, byłbym dawno tym duchom wypowiedział służbę i zerwał kompromitujący mnie związek z dworzanką Diany, powabną, ale chytrą i niewierną, gdyby mnie nie wiązał z nią wysoki stopień namiętności myśliwskiej. Zresztą nie posiadałem żadnej broni przeciw tajemniczym knowaniom silwanów.

Cały szereg obrazów tkwi w pamięci mojej, po długich latach jeszcze one mnie trapią i drażnią, rzucam więc je na papier, aby się ich pozbyć i przypomnieć niejednemu z kolegów podobne przygody. Pewnego razu stoję na piaszczystej drodze, za mną krokwiasty las, przedemną zamszone bagno, porośnięte skarłowaciałą, dosyć gęstą sośniną. Cicho jak w puszczy, wiatr gdzieś do bieguna popędził, szpilka się nie rusza, ptactwo drzemie — chwila urocza oczekiwania. Wtem w oddaleniu wychyla się odyniec, widocznie zły z powodu przerwanego spoczynku, bo stulił uszy i szczecinę na grzbiecie naje-

żył. Kroczy wolno, nastawia ryj, pełnym wiatrem wietrzy i posuwa się ku mnie w odległości stu kroków, nie mogąc mnie spostrzedz. Podnoszę broń, cisnę ręką bijące serce, rozum uspokaja namiętność, za chwilę w świńskie serce wpakuję kulę. Inną wszakże zabawę obmyślała dla mnie na ten dzień psotnica leśna. W tejże chwili tą nieuczęszczaną drożyną pędzi chłop jałówkę i kłóci się głośno z babą; jałówka niechętnie idąc na jarmark, popędzana batem i głosem spostrzegłszy mnie zaryczała, chłop ją pociągnął batogiem, a do mnie zawołał: „Chwała Bogu!“ Smutnie zawtórowałem mu: wszędzie i zawsze chwała Bogu, ale mój dzik nie miał ochoty kroczyć po drodze prowadzącej na jarmark, uderzył na linię strzelców, a ja stałem na skrzydle.

Możny był pan na Szląsku książę H., posiadający w swych kniejach nieprzypuszczalną ilość sarn. Dziś trudno mi uwierzyć w rezultat pamiętnego dnia łowów, w którym ja młokos, nie umiejący rozpoznawać rogaczów, zabiłem ich w pięciu godzinach trzynaście, można sobie tedy wyobrazić, jaki rój sarn był w owych bagnistych olszynkach. Rewolucyjna wolność z roku 1848 wytępiła zupełnie ową zwierzynę, chłopi wystrzelali sarny, a mięso ich było tańsze od wołowego. Książę zniechęcony tem i oburzony, a przytem niechętnie płacący za szkody zrządzane przez dziki, jelenie i daniele, okolił 12.000 morgów magdeburskich i utworzył zwierzyniec, istny raj dla myśliwego. Gąszcze zamknięte, starodrzewy, kijaste mioty, sączący się strumień, jeziorko trzciną i oczeretami zarosłe, jednem słowem wszystko tu pożądane mogła zwierzyna znaleść bez trudu i wysilenia. Zajączek, barwiący nam zawsze polowanie, niechętnie tam przebywał mimo zasianych ozimin i owsów, sarna była zdrobniała w rozmiarach i mówiono mi, że wkrótce wyginie, bo antypatycznie nie cierpi jeleni i danieli, a dzików się lęka i od nich stroni. Oczom moim wierzyć nie chciałem, gdy się na moim widnokręgu poczęły ukazywać, wspaniałe postacie królów leśnych, zachwycony, zaślepiony, uniesiony, wpatrywałem się po raz pierwszy w życiu w te ruchy, ewolucye, studyowałem ich nadzwyczajną ostrożność, przebiegłość i czujność. Śmiano się wówczas z młokosa, nazywano marzycielem, a ja całą duszą rozkoszowałem w tym nieznanym mi świecie. Wreszcie pędzą na mnie dwa daniele na połeć, jeden był bury, drugi czarny i podżary, z plamkami na udach, oba olbrzymich rozmiarów. Miałem kapslowy sztuciec sławnego wówczas rusznikarza w Berlinie George, z konicznemi kulami. Nadbiegają, mierzę, strzelam, jeden kozłuje na miejscu, drugi pada na nogi, pociągnął się nieco naprzód i pożegnał z życiem. Zatętniło mi serce, krew do głowy uderzyła, uwierzyć nie chciałem, że to ja młodziutki takie strzały zrobiłem. Że to było na porębie prawie bezdrzewnym, widzieli myśliwi mistrzowskie to moje dzieło, przybiegli, winszowali i przepowiadali mi świetną przyszłość myśliwską. Po chwili nadchodzi okrągły Niemiec z konopiastym włosem, obwisłym brzuchem, z krzywemi nogami i mówi głośno, że to on te dwa daniele zabił. Powstał szmer, uśmiech zaigrał na ustach towarzyszów, wszyscy pobiegli do leżącej zwierzyny, na mojej skórze ciarki biegały, i o dziwo — przysądzili mu daniele. Jeden z nich miał kulę w udzie, drugi wysoko przestrzelony kark, a moje szpiczaste kule przeszyły obie komory. Nie lubię Niemców, ale ten gruby, żółty, dziś jeszcze siedzi mi za skórą!

Inne zdarzenie nieprawdopodobne, nie do pojęcia, a jednak prawdziwe i rzeczywiste. Stoję na uboczy z nader ostrym spadkiem, tak, że się o drzewo opierać muszę, aby utrzymać równowagę. Przedemną głęboki miot grabowy z zwiędniałym liściem. W dali rysuje mi się duży dzik wolno kroczący, przystający, to znowu posuwający się ku mnie. Staje, wietrzy, obraca się i idzie dalej, już moim nerwom nie starczyło cierpliwości, poczynają mi się kiwać lufy, oczy mgłą zachodzą, wtem dzik przestraszony jednym skokiem mknie w dół, badam, co go przestraszyło, i o dziwo, widzę tył baby ogromnych rozmiarów, okryty niebieską spodnicą. Potwór ten nie rusza się, więc podchodzę i pytam, co tu robi, baba głucha wytrzeszcza na mnie żabie oczy i nie odpowiada. Zbierała grzyby, ruchu jej wolnego nie spostrzegłem, ona zaś głucha i niejasno widząca, nie widziała dzika, którego tak przestraszyła. Takie figle potrafi płatać jedynie psotnica leśna.

Jasny dzień na grubego zwierza, to według mego zdania najwyższa rozkosz dla myśliwego, w górach śniegiem nieokrytych. Świerki i jodły zielonością w ramy ujmują krajobraz, szczyty niebotycznych drzew prują rozrzucone chmurki, słońce igra i migoce promieniami, przeistaczając krople rosy w brylanty, późne kwiaty spieszą się z otwieraniem swych kielichów, aby ustroić kobierzec przyrody, powietrze czyste, wonne i balsamiczne, pod nogami z mchu pierzyna, świergot ptaków, a nad nami sklepienie niebios zda się tak niskie, tak przystępne, że rwie się dusza do tych wyższych sfer. Te jary i debry niedostępne dla oka, przypominają przeobrażenie kształtów ziemi, rwanej nawałem wody, te czarne łomy, zwaliska i pnie odwieczne wiodą myśl w dawne czasy żyjących olbrzymów, ku zmienności i nietrwałości wszechrzeczy, ku przeznaczeniu ciała na zgniliznę i spróchnienie. Tam myśl nie stoi, lecz buja po wyższym świecie, tam umysł nie drzemie, wyobraźnia przywdziewając szatę pokutnicy, korzy się przed majestatem, dusza maleje i w zachwycie rozkoszuje. Łowy w górach posiadają wieloraki urok, niespodzianki nieprzerwane na ziemi i w powietrzu, poezyą swą podnoszą ducha, tam płuca nasze lekko oddechają mimo utrudzonego chodu. Gdzie rzucisz okiem, pięknie, gdzie spoczniesz, wzroku oderwać nie możesz od ponętnego krajobrazu. Wszystko tam imponujące i wielkie, barwne i przezroczyste, harmonijnie zaokrąglone, nawet szpiczaste szczyty i koniczne turnie. Światła i cienie w niezliczonych odmianach łamią się i zlewają, to znowu walczą z sobą i igrają, zachwycające tworząc odmiany. W pewnej wysokości rozpoczyna buk swe panowanie, wypierając drzewostan szpilkowy, w jesieni ubarwia on swą kopułę rdzawym kolorytem, świecąc białym, gładkim pniem i stanowi widoczną granicę, odbijającą cudownie na tle zieloności. Pod nogami, jakby w innym świecie, wije się srebrzysta rzeka, prostą kolumną pędzą kominy dym do nieba, ludzie drobni, istni pigmejczycy, a bydło i owce podobne do pełzających owadów. Dzwonią owce i kozy z capem na czele, ryczą z radości woły, zbierając wonną zroszoną trawę, przygrywają na piszczałkach chłopaki, pastuchy trąbią na rogach, odstraszając drapieżnego zwierza, a cały krajobraz owiany przezroczystą mgłą różno-kolorową. Siedzę na pniaku za jodełką, rozkoszuję w niebiańskim zachwycie, podziwiam, czuję się malutkim i przejętym wdzięcznością. Wtem słyszę trzask złamanej suchej gałęzi, rzucam okiem w tę stronę i widzę z lewej nogi galopującego niedźwiedzia po bujnym kobiercu mchu. Krótka była chwila, skoczył do parowku, wybiegł między jodełki, ja składam się, mierzę i w chwili spuszczenia cyngla widzę między drzewkami białą kamizelkę mego sąsiada, podbiegającego ze swego stanowiska. Kudłaty Misio ukrył się w gąszczu, a ja sądziłem, że uderzenie krwi do głowy i serca zabije mnie.

W tym pamiętnym dniu cały dwór silwanów prześladował mnie jako wybranego potępieńca. Mój sąsiad nie uznał popełnionej zbrodni, nadto jeszcze naigrawał się ze mnie. Zda-

wało się, że wypiłem do ostatniej kropli kielich goryczy, inaczej wszakże było napisane. Sąsiedni leśniczy nadbiega i namawia nas do puszczenia psów na odyńca (posiadałem wtedy doborową psiarnię), który nad ranem wszedł do głębokiego parowu i zapewne ułożył się w wilgotnym barłogu na dniówkę. W mozolnym pochodzie idziemy daleko i wreszcie puszczamy tropowca w zawalony parów, istną zburzoną Jerozolimę. Pies zaszczekał, inne psy dopadły i las głosi rozpoczęte łowy. Wycinek zwinny, lecz niezbyt odważny, broni się przez krótką chwilę śród łomów i gąszczów, wytyka koło mnie na polankę i znika mi z oczów. Podchodzę, patrzę, dzika dostrzedz nie mogę, a psy zapienione ujadają jak szatany. Aby objąć myślą ten ciekawy obrazek, trzeba znać nasze górskie zwaliska. Anarchiści paryzcy mogliby się tu uczyć stawiania barykad, nieprzystępnych nawet dla żuawów. Odwieczne drzewa, których trzech ludzi objąć nie zdoła, czarne, śliskie, na pół zgniłe w pniu, z twardymi konarami i sękami, leżą w swych olbrzymich rozmiarach, wywrócone z korzeniami ziemią zalepionymi, wiszą nitki kołysane wiatrem, brodate mchy rozpościerają się po gałęziach, ślimaki różnorodne ślizgają się po drzewie, grzyby kolorowe, drobne, wielkie, żółte, białe, brunatne i pomarańczowe barwią łom, paproć i pasożyty leśne wyrastają z tej zgnilizny. Obchodzę w koło, nic dostrzedz nie mogę, szczuję psami, ale dzik nie wyskakuje, ukrywszy się w dziuple zwalonego olbrzyma. Psotnica leśna szepce mi: wdrap się na drzewo, z góry strzelisz trafnie. Niestety byłem jej posłusznym, oprzeć się jej nie umiem, przyznaję się do tej słabości. Błędne to zdanie, że instynkt tak uczynić nakazał; nie instynkt, lecz ona, silwanka mnie zgubiła. Wyłażę więc z przeciwnego końca, od wierzchołka dosyć przystępnego, poczynam tracić równowagę, zawieszam na gałęzi sznurek trąbki i pas od torby, balansuję jak gimnastyk, ślizgam się i siadam, ranię się o sęki, drę odzież. Nic mnie jednak nie wstrzymuje, rozsądek milczy wobec namiętności rozgorączkowanej, co tu taić — ona tak każe. Jak kot lub wiewiórka posuwam się na czworaku, pot się ze mnie leje, krew się sączy, ale naszczekujące psy pobudzają mnie do wytrwałości. Już widzę przez otwór dziupło, lecz bez dzika, prostuję się i próbuję złożyć się, kiwam się jak żyd na kuczkach, ślizgam i wreszcie spadam z łomotem pośród zgrai psów i wysuwającego się wycinka. Chciałaś mnie ukarać psotnico i dokonałaś znakomicie. Lata minęły, włos pobielał, troski czoło poryły, dzieci mnie przerosły, a ja jeszcze widzę siebie leżącego wśród gałęzi, potłuczonego, nasłuchującego głosu psów, oddalających się ku szczytom gór.

Kto nie wierzy, że psotnica trąci myśliwego, a niekiedy nawet przewróci, niech posłucha. Nad rzeką urwisko kamieniste, poryte parowami, na jałowym, wypłukanym gruncie, z wysileniem wyrasta drzewo grubości ręki; chłopcy wolnym chodem, w nierównej linii, z powodu nieprzystępnego terenu, gonią, a ja staję nad ostrym spadkiem, koło kilku grabczaków z pnia wyrosłych. Widnokrąg mój był szeroki, niczem nie zakryty, zarośnięty rzadko rozrzuconemi drzewkami. O kilka tysięcy kroków spostrzegam kroczącego w moim kierunku dzika, oczywiście koło mego stanowiska przejść musi. Idzie, chowa się po parowach, to znowu się wychyla i niknie mi z oczów. Trwa ta próba cierpliwości już około 20 minut, a dzik na strzał jeszcze się nie zbliża, ręka mi drgać poczyna, lufy się poruszają tak, że je o drzewo oprzeć muszę, a tu o dziwo, istne czary. Nogi mi się poczynają trząść, butami usuwam piasek ze szutrem i żwirem, kolana, zawsze mi wierne w służbie, uginają się i uderzają jedno o drugie, wreszcie złamany padam na ziemię i widzę dzika przechodzącego koło mnie na kilkanaście metrów. Myślałem, że to febra tak mną zatrzęsła, że to chwilowe omdlenie, lecz nie, to ona, zawsze ona.

(Dokończenie nastąpi.)

# TANAS.

## GAWĘDA MYŚLIWSKA

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

(Dokończenie.)

Zachciało się Romanowskiemu polować z dojeżdżaczem na niedźwiedzie w górach, musiało się tak stać, choć pan Nahujowski i inni panowie uważali to za szaleństwo. Mówi do mnie Romanowski: „Tanas, szczob hańby ne buło, bo baczysz, meni hańba, a tobi — dohadaj sia!“ Siadam tedy na kasztana, starszy myśliwy Nahujowskiego dorwał się jakiejś szkapy, cztery drążki psów powiódł pobereźnik miejscowy, znający wybornie knieje, i ruszyliśmy, a panowie i reszta myśliwych podążyli za nami. Miejscowy leśniczy rozstawił strzelców, a że było ich do 30, więc cały matecznik obstawiono nimi i chłopami uzbrojonymi w drągi. Dzień był pogodny, lecz jak zwykle w późnej jesieni wietrzny, las szumiał, szczególnie smerekowy, bo bukowy, jaworowy i jasionowy pozbawione już były liścia. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie leśny radził podłożyć psy, na tropowca wzięliśmy ogara z psiarni Nahujowskiego. Dla naszych drążkowych psów była ta wyprawa na niedźwiedzia pierwszem polem, przy nich braliśmy dziki na kordelas, co Romanowski bardzo lubił, takiemu co wziął, dawał w nagrodę dwa dukaty. Konno nie można było jechać po wertepach, więc zostawiłem kasztana. Tropowiec poszedł w las, ja za nim sam, psy z drążków spuściłem, żeby się w gąszczach nie splątały, nie było obawy, żeby się zażerały, czyniły to tylko w psiarni, w kniei zaś zawsze najlepsza panowała między nimi zgoda. Drapię się tedy z psami do góry, już godzina minęła, tropowca ani słychać. Wiatr szumiał przeraźliwie, naraz żachnęły się psy, drżą i skomlą po cichu, wreszcie i ja usłyszałem głos tropowca, więc szczuję huż! huż! Psy pomknęły ku głosowi tropowca, ja z całej siły zatrąbiłem, aby myśliwych ostrzedz, że zwierz trafiony. Spieszę za psami, ale trudno wydążyć po górach i parowach. Niedźwiedź naprzód okładał jak zając. Psy głoszą na szczycie, ja pędzę tam z obowiązku i z ciekawości, aby zobaczyć po raz pierwszy w życiu, jak to niedźwiedź przed psami chodzi. Ledwiem się wydrapał, niedźwiedź już w dół powiódł psy. Jak waryat latałem to w górę to na dół, wreszcie poczęły psy ujadać w miejscu, więc spieszę. Hej! hej! byłoż na co patrzeć: siedzi kudłacz, oparty o gruby wywrot, trzy psy atakują go z przodu, niedźwiedź drze ziemię bryłami, rwie gałęzie i miota na psy i trafia dobrze, bo za każdym razem który z psów zaskowyczy i znowu wściekle ujada, ale z daleka. Suka Hydra nader za-

jadła chciała, jak to praktykowała przy dzikach, wylazłszy na kłodę chwycić niedźwiedzia za ucho, ale ono wymknęło się jej z paszczy, a niedźwiedź chwycił ją w swe łapy, przycisnął do piersi, zatrzeszczały kości i biedna suka padła nieżywa do nóg kosmacza. Na ten widok złość mnie przejęła, chwyciłem za kordelas, ale wstrzymało mnie przypomnienie, że to ofiara nie dla mnie, lecz dla panów myśliwych. Trąbię bez ustanku, wreszcie słyszę odzew, idą myśliwi, jakoż nadbiegło czterech panów, Nahujowski, dwóch obcych i Romanowski, który do mnie woła: „Pylnuj, szczob ne ujszou!“ — „Ne bijte sia — odpowiadam — sobaki jeho dobre trymajut.“ Memu panu zostawiono pierwszeństwo borykania się z rozjuszonym borutą, ale to nie z dzikiem sprawa, którego psy za uszy chwyciwszy, trzymają jakby w szrubsztaku. Osaczony niedźwiedź widząc, że Romanowski z kordelasem zbliża się ku niemu, wspina się i poczyna ryczyć. Ja wołam: „Z zadu jeho berit, z po za kołody, meże perednie łopatkie.“ Słyszał to Romanowski, okrąża wywrot, zachodzi niedźwiedzia z tyłu, ja tymczasem podszczuwam psy na niego, które zażarcie dobierają się do jego kudłów. Niedźwiedź znowu spuścił się na cztery łapy i w tejże chwili zatapia mu Romanowski w łopatce całe ostrze kordelasa. Niedźwiedź ryknął straszliwie, zwróciwszy się nagle ku kłodzie, począł ją gryść zębami i szarpać pazurami. Psy szarpały go, osobliwie jeden całą paszczą porwał go za kark i razem poczęli się tarzać po ziemi. Pies życiem tę walkę przepłacił. Widząc, że niedźwiedź gotów się rzucić na ludzi, bo rana nie była śmiertelną, szybko podałem memu panu jego sztuciec gwintowany. Wypalił z niego w sam łeb niedźwiedzia, który powalił się martwy. Panowie mu krzyknęli „vivat!“ a Romanowski sięgnąwszy do kieszeni, dał mi 30 sorokowców. Wróciliśmy do dworu. Romanowski przez całą drogę był wesół i łaskawy, w każdej austeryi zastawiano stoły.

Z powrotem do domu Romanowski był srogi i zły, zwłaszcza po odebraniu listu od panicza, który był w wojsku i stał podówczas w italskim kraju. Musiało tam być coś bardzo złego, bo nawet Ilko wziął baty, czego nigdy nie bywało. Mówi on raz do pana: „Osły (w owych stronach znaczy to koły, kiedy) panycz pryidut, to treba w jeho pokojach zapałyty, bo wże moroz.“ Romanowski na to: „Zanim jemu zapalę, zapalę ja tobie szelmo, że ci i u baby za piecem nie będzie goręciej. Hej! jest tam kto? wołać Kaźmirza!“ I Ilko dostał dwadzieścia odlewanych. Gorzej jeszcze było z paniczem. W parę niedziel przyjechał ze Lwowa ekstrapocztą; ledwo wszedł w próg, a stary Romanowski po swojemu huknął: „Hej! jest tam kto? wołać Kaźmirza, Tanasa i szerokiego Semka!“ (hajduk silny jak niedźwiedź.) Zmiarkował panicz, co się święci, stanął jak wryty, a pobladł jak chusta. Pani przybiegła powitać jedynaka, usłyszawszy te słowa, krzyknęła i padła zemdlona. Romanowski ją otrzeźwił, a gdy mu do nóg padła i prosiła za synem, rzekł: „Pani dałaś mu życie, ja mu dam rozum.“ Kiwnął i wnet panny służebne wyprowadziły panią. Panicz stał jak mur, stary woła: „Połóż się tu na kobiercu, boś szlachcic.“ Panicz stoi, wreszcie odpowiada: „Ja oficer, mnie bić nie wolno“, a ubrany był w mundur tyrolskich strzelców. „A skurczybyku! — woła stary — ty dla mnie syn, nie oficer, bierzcie go!“ Porwaliśmy pana Franciszka i rozłożyli na kobiercu, a stary bił nahajką czerkieską, panicz jęczał, a pani dobijała się do pokoju i zawodziła, aż serce się rwało. Po 30 razach panicz zemdlał i leżał jak nieżywy. Stary Kaźmirzowi kazał liczyć, a sam bił, sto nahajów dał paniczowi. Za co go tak srogo karał, nie wiedzieliśmy; w rok potem mówił Ilko, że panicz dużo długów narobił w jakiemś italskiem mieście, a na wekslach podpisywał się „graf“, co najbardziej rozsrożyło starego, toż bijąc wołał: „Ty nie kiepski graf, ale szlachcic, a może nawet więcej, bo pochodzisz z Romanowych, więc chyba książę.“ Panicz odchorował bizuny trzy niedziele, wyzdrowiawszy, zabrał swoją służbę, samych Niemców, wyjechał nie pożegnawszy pana, wrócił w 10 lat dopiero po śmierci ojca, a wrócił, aby stracić cały majątek: Rzeczycę z trzema folwarkami, Zasławie, miasteczko Uhnów i wieś Karów. Czy wie pan, gdzie teraz mieszka pan Franciszek? Komoruje u szewca Reszetyły w Uhnowie. Coś mu tam jeszcze żydzi płacą z młyna Uhnowskiego. Taki on dziś jak ja żebrak bez chaty i rodziny. Przepadł majątek, na którym nie było błogosławieństwa Boskiego. „Szczoż wam szcze mam skazaty, chyba o sobi.“ Dobrze mówi przysłowie: „Pańska łaska na pstrym koniu jeździ.“ Romanowski darował mi pustkę, pańszczyzny nie robiłem, bo służba moja we dworze liczyła się za pańszczyznę, prócz tego brałem płacy 100 złr. m. k. i nieco ordynaryi. Roboty nie było wiele w porze, kiedy nie polowano, t. j. na wiosnę i w lecie. Więc pilnowałem swego gospodarstwa, a zresztą byle się jawić we dworze, skoro pan zawoła, bo inaczej baty i to sute. Jakoś zawsze przeczuwałem, kiedy mnie zawoła, i uchodziło to przez lat kilka, żem się wydalał ze dworu. Aż raz niespodziewanie woła pan: „Hej, jest tam kto? Tanas!“ A byłem już wtedy żonaty, miałem dwoje dzieci, ziemia na mym gruncie była dobra, przy pensyi i darunkach, jakie odbierałem od panów, którzy z Romanowskim polowali, dobrze mi się działo. Właśnie wracałem z najdalszej mej roli do chaty, a tu moja wybiega i jęczy: „Budeż tobi, bude, pan kłykau, szukały tebe ze dwora.“ — Zle, myślę sobie i idę do dworu, w dziedzińcu żegnam się krzyżem świętym, bo to nie żarty były stawać przed Romanowskim, a najgorzej, gdy po polsku przemawiał. Gdy mnie ujrzał, zawołał: „Hej, jest tam kto? Ty siał na mojem polu, a ja na twojem posieję.“ Wnet zjawił się podłowczy Kaźmirz z dwoma hajdukami i chwytają mnie za ręce. Jakaś mnie złość napadła i mówię: „Ne byj pane, ja ne twij piddanyj, woźmij sobi grunt, a meni daj pokij, bo...“ Nie dokończyłem, bo Romanowski rzucił na mnie swą ciężką lagę z słoniową gałką i trafił w twarz. Wszyscy skamienieli ze strachu, a Romanowski rzekł z uśmiechem: „Dość na dziś, ruszaj!“ Uciekłem co tchu do chaty, a wiedząc, że coś strasznego mnie czeka, zabrałem na wóz żonę, dzieci, co było lepszego z komory, kilka worów zboża, pieniądze gotowe i w pół godziny wyjechałem ze wsi w las do Królestwa Polskiego, którego granica tylko o kilka mil była oddalona. W granicznej wsi Machnówku miałem znajomego leśniczego Kuczkiewicza. Dobry to był pan, majętny, z pańskiego rodu, został leśniczym z fantazyi, bo mu tego wcale nie było potrzeba. U niego byłem bezpieczny, Kuczkiewicz nie lękał się Romanowskiego i nie lubili się nawzajem. Żonę zostawiłem na leśniczówce, a sam nocą podchodzę ku Rzeczycy, poglądając, co się dzieje z mojem obejściem. Romanowski kazał budynki rozebrać, sad wyciąć. Poszedłem do brata mojej żony, opowiadał mi, jako z nakazu pana gospodarstwo moje stało się pustką i jako najsurowiej przykazał schwytać mnie i przystawić do dworu.

Umknąłem aż do Polski, osiadłem w Rzeplinie i żyłem z gotówki, a gdy jej zabrakło, z kłusownictwa. Na służbę iść nie mogłem, bom się bał Romanowskiego, który w tych stronach bywał. Ze zwierzyny nie wiele miałem, bo źle ją płacono. Na wiosnę umarło mi dziecko, po niem drugie, żona poczęła mi chorzeć, bo straszna bieda zaglądała do mej chaty. Do gospodarskiej roboty nie byłem nawykły, więc tylko strzelba ra-

towała nas od głodu. Umiałem wabić wilki, więc chodziłem do lasu wabić i nieraz udało się ubić wilka. Rząd za niego nic nie płacił, chyba żyd w Hrubieszowie kupił skórę za dwa złote. Z rozpaczy począłem pić. Gdym wracał trzeźwy do domu, serce mi się krajało na widok chorej żony i jedynaka syna. Pamiętam raz chleba nie było w chacie, porywam strzelbę i biegnę do lasu, aby cokolwiek ubić na pożywienie dla żony i dziecka. Pół dnia włóczyłem się bez skutku, wyszedłem na drogę, padłem na ziemię i płaczę. Wtem targa mnie ktoś za ramię, był to dziad, rzekł do mnie: „Ne żurysia mysływcze, taka to twoja dola, idy do domu, wże po waszoi bidi.“ Poszedłem z nim. Dziad miał w torbie mąkę, słoninę, ser, chleb. Moja zakrzątnęła się i nawarzyła strawy. Dziad opowiadał, gdzie bywał, aż w Peczerskiej Ławrze w Kijowie, teraz osiadł w Radecznicy. Z zapazuchy dobył sporo różnej miedzianej i srebrnej monety, a trafił się i karbowaniec i sorokowiec. Po dwóch dniach poszedł, ale często zachodził do mojej chaty, żyliśmy jego jałmużną, bo jakoś mi się w lesie nie wiodło, wytrzymuję, strzelam, pudło za pudłem. Myślałem, że dziad mnie oczarował, ale jak go było posądzać, kiedy miał na piersiach pełno krzyżów, medalików i innych świętości. Oj miał on Boga na sercu, ale nie w sercu. Raz gdy u mnie nocował, dostrzegłem, że na gołem ciele miał pas z rudej gadziny; pytam go o to, a on odpowiada: „Hostec meni sia sprotywyu, a to pomahaje.“ Po kilku dniach chłopak mój widział, jak dziad odchodząc zrobił jakiś znak na progu, mruczał i spluwał. Dziad coraz częściej przychodził, na zimę się zamówił, a zostawiał żywność i pieniądze i niby się litował, że ja nic nie zarobię, bom urzeczony, i mawiał: „Wy wże urodyły sia pid takuju zwizdoju, szczo wam wże po wik wiki nyczoho ne zastriłyty.“ Bardzom się tem zasmucił. Pewnego dnia wywiódł mnie dziad w las i rzecze: „Ja z was zdojmu tiji uroki, ałe prysiahnit robyty tak jak skażu.“ Przysiągłem. „Otże idit do spowidy, ksiądz daść proskurku (hostyę), kawalczok jei prynesit do domu.“ Idę do spowiedzi i chowam kawałek proskurki. Dziad czekał za bramą cerkiewną i mówi: „Teper rozzuwajte czobit, włożit proskurku na spid i deptajte po nei dwi nedili aż do noczy pered Czestnym Chrestom“ (Podniesienie Krzyża świętego, 14. Września). — „A hi na tebe didu, ne choczu.“ „Ne choczesz, to propadaj.“ I poszedł, ja zaś biegnę do domu i chowam proskurkę za belek u powały. Dziad się nie jawi, zabrakło już strawy, więc idę do lasu po zdobycz na Wasylowskie zręby, gdzie zwykle sarny żerują, zastaję stadko, podchodzę ostrożnie, składam się, strzelam, dwie najmniej paść powinny, wszystkie poszły światami, a strzelbę mocną i nową rozerwało. Wtedy już uwierzyłem w uroki. Wracam do domu i zastaję dziada, który wytrząsał z torby żywność. Pożywiliśmy się, a potem jął mnie namawiać, abym się pozbył uroków. Usłuchałem, deptałem przez dwie niedziel hostyę, a dziad obiecywał mi, że potem, gdybym coś najgorszego zbroił, nic mi się złego stać nie może i że mi później da ziele, którem gdy potrę ręce, każda kłódka, każdy zamek przedemną się otworzą. Ale ja ciągle na niego nalegam, aby zdjął ze mnie uroki, a on na to: „I to bude; w noczy pered Czestnym Chrestom pidete o samoi piunoczy na cmentar i kuloju z rusznyci striłyte do Chrysta rozpiataho na chresti. Tohdy zła zwizda spade z neba i wże ne bude urokiu.“ Czort mnie opętał, posłuchałem dziada, ale przed wskazanym terminem chodziłem jak szalony. Do cerkwi wstąpić nie śmiałem, bo zdało mi się, że ksiądz i wszystkie obrazy wskazują na mnie jako na świętokradcę, nawet nie zbliżałem się do cerkwi lub kościoła, bo mi się widziało, że nawet chmara kawek, gnieżdżących się na bani cerkiewnej, ogłasza mnie jako zbrodniarza, którego ziemia żywcem pochłonąć powinna. Zbliżył się wreszcie czas strzelania do Zbawiciela, wychodzę z chaty, ale tak mi było straszno, żem wstąpił do karczmy zalać tę zmorę, a potem ruszam na cmentarz choleryczny, gdzie stał duży krzyż z ukrzyżowanym Zbawicielem. Miesiąc był w pełni, wysoko już świecił na niebie, ale czarne chmury zasłaniały blask jego. Zbrodnia, którą miałem spełnić, przejmowała mnie niezmiernym strachem, sumienie robiło wyrzuty, alem się już zbiesił, więc bez wahania zmierzam się i strzelam w samą twarz Chrystusa. Po strzale jakaś błyskawica, wychodząca z krzyża, uderzyła mnie w oczy, padłem na ziemię. Zbudziłem się w własnej chacie i ucieszony myślę sobie: to był tylko sen straszny. Wołam żonę i syna, chłopak nadbiega i pyta: „Jak wam tatu?“ — „Jak maje buty, odpowiadam, douhom spau, maje buty nicz.“ — „Oj nicz to w waszych oczach, ta wy ślipyj.“ — „Hospody Boże pomyłuj, a hde mama?“ — „Na cmentari.“

Tak, serdeczny paniczu — opowiadał dalej Tanas — straciłem wszystko, majątek, żonę, później syna. Chłopak opowiadał mi, że w samo święto Czestnoho Chresta przywiózł mnie wieśniak nieprzytomnego; żona gdy mnie spostrzegła, wyrzuciła z piersi kłęby krwi i na drugi dzień zmarła. Zostałem sam. Dziad już się nie zjawił. Dobrzy ludzie żywili mnie, pókim był chory, całą zimę przeleżałem. Na wiosnę ruszyłem z synem na żebraczkę. Wpatrzywszy się w oczy Tanasa, byłem pewny, że nie cudowna błyskawica, lecz proch z panewki jakiejś lichej strzelby pozbawił go wzroku. Tanas opowiadał dalej. Leżąc jeszcze chory w chacie, uczułem wielką skruchę, chciałem sobie życie odebrać, lecz żal mi było syna. Pewnego wieczora wyszedł on po żywność, ja zaś zwlokłem się z barłogu, na kominie gorzał ogień, włożyłem weń tę samą stopę, którą deptałem hostyę, a uczyniłem to z tego powodu, iż widziałem raz, jak ksiądz, gdy mu przypadkiem kielich wypadł z ręki i hostye się rozsypały, miejsce to ogniem wypalił, aby stopy ludzkie nie deptały po niem. Tak też i ja oczyściłem ogniem stopę moją, która bezcześciła ciało Pańskie. Straszne męki wycierpiałem, nim się ta noga zagoiła. To mówiąc okazał mi ją, istotnie wyglądała jak stopa kościotrupa. Lat pięć włóczyłem się po praźnikach, odpustach, miejscach cudownych, nie tyle za jałmużną, ile dla odszukania dziada, który mego nieszczęścia stał się przyczyną, ale zawsze napróżno. Pamiętacie paniczu moje opowiadanie, jakem to ja przytrzymał piastuna i poszedł do Romanowskiego w służbę, porzuciwszy ślepego dziada, który tam może z głodu zginął. Otóż Bóg mnie za ten czyn niemiłosierny ciężko pokarał. Był praźnik w jakiejś wsi, mnóstwo dziadów zeszło się tam wtedy, poszedłem i ja z synem. Wieczorem mówi chłopak do mnie: „Sedit tatuniu, ja zara powernuś.“ Poszedł, ja czekam i czekam, noc przeminęła, chłopiec nie wraca, dopiero na drugi dzień mówi jakiś żebrak, że mój syn „pomandrował“ z gromadą lubelskich dziadów do Lublina, a może aż do Warszawy. Zapłakałem gorzko. Otóż własne dziecko odpłaca mi dawną winę. Po kilku latach dowiedziałem się od dziadów, że stary Romanowski umarł. Postanowiłem wrócić w okolice Rzeczycy, więc z gromadą żebraków poszedłem na św. Marka do galicyjskiego miasteczka Warężа na odpust, a ztamtąd do Uhnowa, i od piętnastu lat chodzę od wsi do wsi, ale nie do Rzeczycy, bo i po cóż, chyba po przykre wspomnienia. „A teper buwajte zdorowy panyczu.“ To mówiąc szparko się porwał z siedzenia, chwycił się ręki przewodnika swego i znikł mi z oczów. Odtąd nigdy go nie widziałem.

Na zakończenie tej mojej ramoty chyba jeszcze słów

kilka o życiu Romanowskiego. W owych czasach niejeden z szlachty, zwłaszcza bogatszej lub dostojniejszej, nie mógł się pogodzić z losem, jaki tej części naszej ojczyzny w udziale przypadł. Kłótnie i awantury z urzędnikami, nieuiszczanie podatków, dokuczanie wykonawcom przepisów prawnych i inne podobne wybryki były rzeczą zwyczajną i nadawały nawet piętno jakiegoś bohaterstwa. Dulski, Kalinowski, Romanowski stanowili czoło między dosyć licznym zastępem tych rycerzy. Panowała między nimi pod tym względem pewna emulacya, przesadzanie się w dziwactwach, które imieniowi polskiemu chluby nie przynosiły. Dulski w swoim czasie niekrwawe ale nieustanne staczał walki z strażnikami akcyzowymi, Romanowski, który w całym swym majątku po zaprowadzeniu akcyzy wódczanej i piwnej skasował był browary i gorzelnie, innym sposobem dokuczał Niemcom. Nigdy dobrowolnie nie płacił podatków, stąd peryodycznie powtarzające się najazdy komisarzów cyrkularnych, sekwestracye, licytacye. Uchodziło mu to z lat dziesięć, wreszcie przebrała się miara, pewnego dnia zjechał do Rzeczycy sam starosta Żółkiewski z dwoma szwadronami szwoleżerów, a gdy rotmistrz w oczach Romanowskiego, uzbrojonego w dubeltówkę i otoczonego swymi sługami również uzbrojonymi, kazał nabić wojsku karabinki, stchórzył Romanowski, umykając do swej kancelaryi, otwierając tem samem wstęp do zamku. Starosta zajął w sekwestr nie zboże w stodołach lub spichrzach, nie piękną i liczną stadninę, ale całą psiarnię, a była to jesień, pora najpiękniejszego polowania. Około 120 psów różnego gatunku posworowanych ruszyło ku Żółkwi w asystencyi szwoleżerów z nabitymi karabinkami. Romanowskiemu zdało się z początku, że to żart, bo czyżby mógł nędzny starosta poważyć się jemu z Romanowów Romanowskiemu wyrządzić taką krzywdę? Był pewny, że psiarnia już z Rawy powróci, a starostwo go przeprosi, gdy wszakże mijały godziny, a nawet dnie całe, a psiarnia się nie pojawiała, Romanowski zły jak sto diabłów naprzód zmaltretował Ilka, następnie woła: „Hej, jest tam kto? Pleśniarskiego!“ Zjawia się przywołany łowczy. „Pojedziesz waść natychmiast do Żółkwi do tego głupiego szwaba starosty, i zgodzisz się, niech mi odda psy. Co się należy, zapłacić, pieniądze wziąć u Mendla w Żółkwi.“ Ilko wiedząc, co w takim wypadku czynić należy, przysunął do fotelu stoliczek z papierem, piórami, zapaloną świecą woskową, lakiem i ową starożytną pieczęcią z herbem. Romanowski pisać nie lubił, wycisnął więc tylko pieczęć na papierze, który oddając Pleśniarskiemu rzekł: „Ile weźmiesz pieniędzy od Mendla, zapiszesz na tym kwicie, siebie podpisz, a nie zapomnij potargować się ze szwabem, może co opuści.“ Posmutniał Romanowski po takim despekcie, a przed okoliczną szlachtą wymawiał się: *Nec Hercules contra plures*. Pojechał Pleśniarski, po kilkudniowym paktowaniu ze starostą zapłacił różne należności w sumie 300 dukatów, a że nie miał więcej pieniędzy, podatki pozostały w restancyi, poczem starosta wydał psiarnię. Oczekiwał jej z upragnieniem Romanowski, a gdy zjawił się Pleśniarski i doniósł, że podatki nie pokryte, Romanowski wielce zadowolony z obrotu rzeczy, rzekł: „Wybornie się sprawiłeś Pleśniarsiu, oszukaliśmy Niemców, za to wybierz sobie parę młodych koni z Karowskiego stada.“ Nadszedł termin płacenia nowych, uiszczenia zaległych podatków, znowu sekwestracya wisiała nad głową Romanowskiego jak miecz Damoklesa. „Nie dam się — mówi do przypominającego mandataryusza — pojadę do Wiednia ze skargą na starostę.“ W jesieni zjechał komisarz na sekwestracyę, zabrał psiarnię, tym razem wszelkie paktowania nie odniosły skutku, psiarnia pozostała w Żółkwi. Uparł się Romanowski nie zapłacić niewielkiej kwoty zaległych i bieżących podatków, więc wybrał się osobiście do Wiednia i tam dał słowo cesarzowi, że będzie płacił podatki; odtąd chlubił się tem, że tylko na podstawie danego słowa płaci. Lichym był obywatelem kraju, nawet pod względem strzeżenia obyczajów czysto polskich, ubierał się po francusku, a Francya była dla niego modłą i wyrocznią. Jakim był panem dla swych poddanych i sług, wiemy z opowiadania Tanasa. Tyranizował wtórą swoją żonę, wielkich cnót kobietę, przyczem dopuszczał się nieraz śmiesznych dziwactw. Posiadał liczne cugi koni w swych stajniach, żona jednak odbywając bliższą lub dalszą podróż, jeździła zawsze końmi chłopskimi, dostarczanymi za pańszczyznę. Zabawny był widok karety ogromnej, ciągnionej przez sześć chłopskich chmyzów. Cztery w poręcz uprzężone popędzał zazwyczaj stary chłop z wysokiego kozła, a parą koni, idących wzdłuż, kierował wyrostek chłopski, bosy, zamiast siodła używając worka wypchanego sianem.

Polowania w kniei i z chartami w polu urządzał Romanowski po pańsku. Na błotach i z chartami sam nie polował. Miał zawsze kilkanaście wyżłów, przeważnie rasy kurlandzkiej, hiszpańskie małe do przepiórek, angielskich jeszcze podówczas nie znano. Czasem, gdy w kniei nie można było polować, urządzał sobie błotne polowania, wtedy strzelcy jego buszowali po obszernych Karowskich i Uhnowskich błotach, ciągnących się wzdłuż rzeki Sołokii, on zaś był tylko spektatorem, siedząc na wózku tak zwanym szarabaniku, dziwnego kształtu i budowy, na niziutkich kołach, z zajęciem przypatrując się strzałom myśliwych i wykrzykując od czasu do czasu admonicye swym tubalnym głosem. Gdy błoto było zbyt grząskie, iż nie mógł jechać za linią strzelców, to wyprzęgano konie, a kilku chłopów ciągnęło szarabanik, którego koła były na ten cel szerokie, żeby nie grzęzły. Na kaczki polowano z większym jeszcze aparatem. Oprócz rzeki Sołokii, wijącej się środkiem Zastawskich, Uhnowskich i w części Karowskich łąk, na jej załomach czyli kątach, porośniętych wysoką trzciną i szuwarami, było mnóstwo kaczek. Na Rzeczyckich łąkach i w Karowskich lasach sporo było jezior, będących siedliskiem i pieleszą kaczek. Wąskie lecz nader długie czółno służyło do tych wodnych wypraw. W celu podjechania ostrożnego ptactwa czółno było obłożone zieloną rogożą, w środku na ławeczce siadywał Romanowski z długą turecką janczarką, przy nim Pstrąg, doskonały wyżeł aporter. Wiosłujący osłonięci byli rogożą, na głowie zaś mieli niby hełm z sitniku, a resztę ciała pokrywał tatarak lub szuwar. Ludzie ci w tym dziwnym, fantastycznym stroju wyglądali na mieszkańców bagnistej Zelandyi. Chłopiec siedzący przy Romanowskim nabijał mu janczarkę lub podawał inną broń, której bywało sztuk kilka.

Polowania z chartami odbywały się z pompą, osobliwie gdy z Podola, nawet z Ukrainy przyjechali do Rzeczycy goście. Chartów miewał Romanowski wiele, ale nie szczególnych. Najulubieńsze były mu rasy polskiej, duże i gładkie, z nadzwyczaj długiemi trąbami; ale na krótkie pola nie do użycia. Charty te noszą dziś nazwę podolskich, forsują one raczej zająca, nie biorą. Cechą to chartów ukraińskich lub mięszanych. Charty polskie czyli podolskie, nim wezmą zająca, forsują go dalekim pościgiem, więc nie na krótkiem polu, gdzie krzaki, góry i inne przeszkody. O chartach pisałem obszerniej w „Łowcu“, odbitkę tej rozprawy raczyła sz. Redakcya wydać, do niej odsyłam ciekawego czytelnika. Polowano z chartami zbiorowo. Szlachta okoliczna, z których niektórzy jak U., Kruszyński z Machnowa, Kruszewski, Bromirski i inni doskonałe miewali charty, łączyli się do kawalkady Romanowskiego i polowali

przez całe tygodnie. Najsławniejszy smycz chartów miał leśniczy z Machnówka Kuczkiewicz, ale ten nigdy z Romanowskim nie polował, bo go nie cierpiał. Wspomniałem o nim wyżej, tu tylko dodam, że leśniczy ten posiadał sukę i psa, rasy mięszanej z ukraińską, które szczególną miały właściwość, że brały zające w wysokopiennym lesie, a nawet w gąszczach. Mój ojciec opowiadał mi następne zdarzenie, którego był naocznym świadkiem. „Pewnej jesieni pojechałem do Kuczkiewicza do Machnówka na ciąg słonek, których tam było mnóstwo. Kuczkiewicz był bogaty, za młodu służył w pułku austryackim huzarów i był porucznikiem. Z kaprysu przyjął obowiązek leśniczego za 100 złr. w. a. i trochę ordynaryi. Cztery ładne konie stały u niego na stajni, dom pod słomą, zewnątrz niepokaźny, wewnątrz urządzony był wspaniale, niby owe podziemie hr. Monte-Christo. Piękną i cenną posiadał kollekcyę różnororodnej broni. Mimo swej zamożności obowiązki leśniczego pełnił gorliwie, jakby biedak jaki dla chleba. Po kilkunastu latach takiego ekscentrycznego życia umarł w nędzy. Otóż wychodzimy na ranny ciąg słonek, a z nami chartów dwoje. Zdziwiło mnie to, ale Kuczkiewicz zapewnił mnie, że charty nam przeszkadzać nie będą i że gotuje nam nimi niespodziankę. Byłem pewny że charty te wbrew swej naturze wyszukują i aportują słonki. Szliśmy właśnie krajem moczarowatego lasu przez gęste krzaki łozowe i olchowe, wtem z pod stóp Kuczkiewicza wymyka kopyra „Hajże go!“ krzyknął, a charty pomknęły w gąszcze. Wkrótce słyszę wyraźne „kniaź! kniaź!“ Przybiegamy, stary zając leży rozciągnięty przed psami w zbitej gąszczy. „A co — rzecze Kuczkiewicz — widział pan coś podobnego?“ — „W istocie dziwny wypadek“ — odparłem. — „Wypadek, sądzi pan? otóż zamiast na słonki, zapolujemy na zające.“ Rozchodzimy się i płoszymy zające jakby huczki. W krótkim czasie wzięły charty trzy zające. Zdziwiony i zachwycony tem polowaniem, pocałowałem charty w łapki. Były niewielkie, filigranowe, kosmate, barwy żółtej, z czarnemi trąbami. Za te charty dawał Romanowski Kuczkiewiczowi 200 dukatów, lecz za żadną cenę ich sprzedać nie chciał. Pies zwał się Uduś, a charcica od urodzenia bez ogona Kusa.“ Ojciec mój dostał dwoje szczeniąt z tego sławnego miotu. Przeniosłszy się pod Lwów do Kamienopola, przyprowadził te psy z sobą. Nie wiele się one co do zalet odrodziły od swych rodziców, ale wyginęły ze szczętem, zapewne z zawiści ktoś je wytruł.

# Ptaki jako zwiastuny zmian atmosferycznych.

PRZEZ
**Aleksandra Przedrzymirskiego.**

Ptaki, żyjąc ciągle w powietrzu, czulszymi są na zmiany tego lotnego żywiołu, aniżeli inne zwierzęta. Nie twierdzę, ażeby i inne istoty nie przeczuwały nastąpić mających zmian, owszem zwierzęta ssące, ryby, płazy, niższe nawet ustroje okazują przed nadchodzącą burzą jakiś niepokój, gorączkowy ruch lub też niezwykłą apatyę i ociężałość. Ponieważ jednak ptaki więcej jak inne stworzenia podpadają nam pod oczy. naturalną przeto było rzeczą, że już w klasycznej starożytności oczy augurów czytały z ich lotu wyrocznie, że dziś jeszcze oczy żeglarzy i rolników śledzą wdzięczne zwroty rybitw lub naszych poczciwych jaskółek, starając się z ich lotu odgadnąć, czy zbiorom lub łodzi miotanej falą niebezpieczeństwo nie zagraża. Pominąwszy zwyczajne ciągi ptaków, zapowiadające zmiany pór roku, dostrzegamy jeszcze u nich objawy innego rodzaju przed chwilowemi zmianami atmosfery. W okolicach położonych nad wodami, objawy te dadzą się łatwo dostrzedz u wielkiej liczby ptactwa wodnego. Tam rybak ucieka do bezpiecznej przystani, gdy spostrzeże niezwykły ruch między burzykami, gdy usłyszy ciągłe krzyki mew i rybitw, gdy ujrzy ciężkie pływaki dążące do brzegu, bo wie, że łodzi jego grozi rozbicie od nadciągającej burzy. Ptactwo lądowe podobnież się zachowuje. Ileż to razy podczas żniw skrobie się nasz wieśniak w głowę, widząc, że jaskółki nisko latają, że wrony popopuszczawszy skrzydła włóczą się ociężale z pootwieranymi dziobami, gdyż nie wróży mu to nic dobrego, więc troszczy się, obawiając się gradu lub gwałtownej ulewy. Pomiędzy objawami spostrzeganymi u ptaków, rozróżnić możemy odmienne przed burzą, a inne znowu przed długotrwałą słotą. Pianie częste kogutów znanem jest powszechnie jako zapowiedź burzy. Zeszłego jednak roku zauważałem fakt, o którym dawniej nie słyszałem, że gdy sowy odzywały się za dnia, było to nieomylną przepowiednią burzy. Fakt ten kilkakrotnie sprawdziłem. Gdy słychać częsty krzyk dzięciołów, wilgi i krętogłowów, gdy wrona odzywa się jakimś niezwykłym głosem, wołając jak lud twierdzi deszczu, gdy sojka naśladuje głos jastrzębia, można być pewnym nastąpić mającej ulewnej burzy. Gorzej jednak, jeżeli w pewnej okolicy, gdzie zwykle wodnego ptactwa mało, pocznie się ono w większych ilościach ukazywać. Nie jest to już wtedy wróżba nagłej ulewy, ale zapowiedź długotrwałej słoty. Pewnego dnia podczas stałej pogody zdziwiony byłem widokiem krzątających się w polu około zwózki zboża wieśniaków, a był to dzień świąteczny. Zapytałem o przyczynę takiego pośpiechu. Deszcz będzie padał, odpowiedziano. Rozglądnąłem się w około, niebo było zupełnie czyste, uśmiechnąłem się z niedowierzaniem. Pokazali mi wtedy uwijające się nad brzegiem rzeki rybołówki, wedle nich wrony morskie, mówiąc, że te ptaki są najpewniejszymi zwiastunami słoty. Wróciłem do domu, wieczór był nadzwyczaj piękny i cichy, w górze świstały gdzieś ciągnące kulony, wtórzyły im chropawym głosem czaple i słychać było co chwila szelest kaczych skrzydeł. Widząc ten niezwykły ruch między ptactwem, zaczynałem potrochę wierzyć w przepowiednie wieśniaków. Nazajutrz jak daleko można było zasięgnąć okiem, niebo zasłane ciężkiemi chmurami i deszcz spadał ciągłemi, spokojnemi strugami. Nad wyschłą zwykle na wpół rzeczką, a zalegającą obecnie przyległe pola, unosiły się rybitwy, brodziły czaple i kulony i co chwila przeciągały klucze cyranek i krzyżówek. Rzeczywiście ptactwo wodne, jak to sam później obserwowałem, ciągnie już kilka dni przed nastąpić mającą słotą w górze rzek, przeczuwając obfite żerowisko po opadnięciu wody. Zjawiają się wtedy, czaple, kaczki, kulony i kuliki, a nieraz i niejeden szerokoskrzydły ptak morski zawita w niezwykłe sobie strony. Myśliwy rad zaciera ręce, gdyż uśmiecha mu się ponętna zdobycz, lecz rolnik innem okiem spogląda na tych niezwyczajnych gości, kłopocąc się o swoje zagrożone zbiory.

Gdy zima ściśnie mrozem ziemię, a różne gatunki ptactwa podążą do cieplic, zostają nam jeszcze nasze domowe proroki. Do takich należą wrony, gawrony, sowy, jemiołuchy i gile. Któż nie zna owych mas czarnego ptactwa goszczącego u nas przez zimę. Przed śniegiem jako jego awangarda ciągną niezliczone chmury wron i gawronów, obsiadają wieczorami stare drzewa i do późnej nieraz nocy wyprawiają harce i wrzaski. Szczególniejszą jest rzeczą, że do podobnych zebrań służą im zawsze te same miejsca, chociaż i inne też same posiadają warunki. Do takich miejsc, gdzie przed śniegiem lub mrozami roją się tysiące czarnego ptactwa, należy ogród okalający muzeum im. Ossolińskich we Lwowie. Gromady wron, gawronów i kawek zbierają się zawsze tam, lubo w bliskim pojezuickim ogrodzie znajdują się równie stare, lub nawet starsze drzewa. Jako zwiastuny śniegu zjawiają się gile i jemiołuchy, lecz gdy tylko ma nastąpić odwilż, znikają, a również maleje liczba czarnego ptactwa. Przed silnymi mrozami huczą całą noc sowy, czego przed odwilżą nie czynią. Dałoby się podobnych objawów zebrać więcej, ja tylko tutaj małą zanotowałem cząstkę. — Skąd ptaki czerpią tę znajomość barometryczną, nie wiem — zapewne z tego samego źródła, które nauczyło drobne ptaszyny wędrować setki mil do cieplic, które nauczyło bociana i jaskółkę odnajdywać co roku rodzinną strzechę. Jest to jedna z wielkich zagadek przyrody, dla której hipoteza instynktu jest tylko niedostatecznem tłumaczeniem.

# KORESPONDENCYE.

Suwałki 28. Marca.

Szanowny Panie Redaktorze. W numerze 1. „Łowca“ r. b. umieszczony został mój krótki „Pogląd na „Pana Tadeusza“ ze stanowiska łowieckiego“, a jeżeli artykuł ten ma przyzwoitą szatę, to winienem to poprawkom zrobionym przez Pana. Gdy tutejsi koledzy myśliwi przeczytali ów „Pogląd“, niejeden z nich rzucił wątpliwość, ażali Mickiewicz rzeczywiście za młodu brał udział w rozrywkach myśliwskich, i przypuszczali, że mógł on skreślić prześliczne tę ustępy myśliwskie z opowiadań myśliwych, z którymi obcował. Zapragnąłem rozjaśnić ową wątpliwość. Przyszło mi na myśl, że w Warszawie żyje jeszcze Nestor poetów naszych pan A. E. Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, a lubo nie mam zaszczytu znać go osobiście, napisałem do niego, prosząc uprzejmie o rozjaśnienie tej wątpliwości. Pan Odyniec był łaskaw odpisać mi. Sądząc, że list ten nie będzie obojętnym dla naszych myśliwych, załączam odpis jego.

Warszawa 12. Marca 1884.

Szanowny Panie. List Pański zastał mnie chorym obłożnie i w tem przyczyna zwłoki odpowiedzi. Pragnąc szczerze uczynić zadość żądaniu Pańskiemu, właśnie podczas tej kilkudniowej choroby przywoływałem sobie do pamięci różne dawne wspomnienia i nakoniec trafiłem na jedno, które, jak mi się zdaje, może stanowczo rozstrzygnąć wątpliwość, czy autor „Pana Tadeusza“ za czasów młodości swojej na Litwie chodził albo nie chodził z fuzyjką po polach i czy bywał albo nie bywał w gronie myśliwych na polowaniach w lesie? Bo że od czasu poznania się ze mną, kiedy już był profesorem w Kownie, dał całkiem za wygranę myśliwstwu, to pewna. Nie słyszałem też nigdy, aby sam z inicyatywy swojej opowiadał co o swych czynach myśliwskich. Ale razu jednego, gdy była mowa o tem między kolegami, ja, który byłem niegdyś zapalonym myśliwym, opowiadałem o uczuciu, graniczącem z rozpaczą lub zgryzotą, którego sam doznałem na sobie, a to z następującego powodu. Od lat już paru włóczyłem się ze strzelbą po polach i lasach, strzelałem nawet kuropatwy i słonki, a nigdy jeszcze nie ubiłem zająca. Wzdychałem więc ku temu jak giermek do złotej ostrogi. Aż tu razu jednego, gdy z po za krzaków skradałem się właśnie do siewek, spostrzegam biegnącego wprost ku mnie zająca, który jakby na urąganie przysiadł sobie spokojnie o piętnaście kroków przedemną. Radość moja nie miała granic, bo jużciż nie wątpiłem o pewnej zdobyczy. Tymczasem strzelba skrewiła (o pistonach słychać jeszcze nie było). Zając musiał posłyszeć szelest spadającego kurka, nastawił słuchy i zaczął oglądać się dokoła, aż nakoniec za powtórnem skrzeszeniem spłoszył się i pobiegł dalej w swą drogę, zostawiając mnie w prawdziwej rozpaczy, która mi w nocy jeszcze zasnąć nie dawała. Koledzy śmiali się ze mnie, ale Mickiewicz wziął moją obroną, mówiąc, że sam kiedyś mniej więcej podobnego wrażenia doświadczył, gdy raz szarak przed psami wypadł na sztych na niego, a jemu na panewce spaliło. Masz więc Pan dowód niezbity, że z fuzyą w lesie polował. Gdzie, z kim i kiedy, tego nie wiem, ale za prawdę tego, co tu mówię, nie po myśliwsku zaręczam.

Racz Pan przyjąć wyrazy szacunku i poważania, a razem i podziękę za przysłany artykuł swój z „Łowca“, który z wielką przyjemnością czytałem. Życzliwy sługa A. E. Odyniec.

Z tego listu mamy dowód jasny, że Mickiewicz bywał na polowaniach, że strzelał do zająca przed psami i że doznawał niezwykłego wzruszenia, kiedy mu na panewce spaliło. Przytem na podstawie tego listu możemy i pana A. E. Odyńca zaliczyć do grona myśliwych. *R. Wierzbicki.*

---

Z nad brzegów Pilicy.

Polowania zimowe tegoroczne, rozpoczęte tak szczęśliwie w dzień św. Huberta, w ogóle nie bardzo się powiodły. Na myśliwych winy składać nie można, gdyż strzały celniejsze były niż za dawnych czasów. Jest więc obawa, że pomimo wszelkich starań, powziętych dla powiększenia zwierzostanu, zwierzyny będzie stosunkowo mało. Jak zawsze pocieszamy się nadzieją, że rok przyszły szczęśliwszy będzie. Kłusownictwo znacznie przycichło, amatorowie bowiem cudzej zwierzyny wystraszeni wyrokiem surowym, wydanym w sądzie apelacyjnym na mordercę gajowego (7 lat katorgi i dozgonne posilenie na Syberyi), już nie pustoszą lasów, a jeżeli pogoda sprzyjać będzie kotelnicy zajęcy i sarn, to się nasze knieje zaludnić muszą. Może i w sąsiedztwie naszem ów wyrok zbawienny wpływ wywrze, przekonają się występcy, że nie zawsze liczyć można na bezkarność dla braku świadków, a czas było ich zuchwalstwo ukrócić. Dziwnie się bowiem rozpanoszyło kłusownictwo w naszych stronach. U jednego właściciela, wprawdzie niemyśliwego, więc niedbającego tak dalece o zwierzostan, zaczaili się raz na sarny w nocy, a po ciemku przez pomyłkę zastrzelili krowy należące do służby leśnej. Stąd powstał wielki lament, obywatel wyrzekał gorzko na tych nibymyśliwych, którzy, chociaż on im wszelką zostawia swobodę, nawet sarny

rozpoznać nie mogą, ale bydło jego ludziom zabijają. Śmieszny to wypadek i spodziewamy się, że nauka tym razem wbrew przysłowiu pójdzie w las, i po tej próbie kunsztu kłusowników nasz obywatel każe lepiej pilnować knieje, a broniąc swoje krowy i zwierzynę ustrzeże. Napróżnośmy tego roku dawali ponętę wilkom, bezśnieżna zima ułatwiła tym czworonożnym kłusownikom polowanie, a mając sarn podostatkiem, pogardzili ścierwem. Kilka znalezionych skór sarnich świadczy, że nie pożałowali sobie zwierzyny, a nam przykro, żeśmy w żaden sposób za wyrządzone szkody zemścić się nie mogli. Gajowi widują jednego ogromnego wilka, przechadzającego się po lesie, gdyby to była szczenna wadera, a nasze knieje wybrać chciała na legowisko, możeby nam się udało, znalazłszy jej gniazdo, całą drapieżną rodzinę wytępić; lecz od pewnego czasu wilczyce jakby wiedzione przeczuciem omijają nasze strony, czując, że nie byłyby bezpieczne dla ich potomstwa. Przecież chociaż nie wilka, ale dwóch innych skrzydlatych rabusiów udało nam się pochwycić na ponęcie. Jeden z nich orzeł *aquila albicilla*, prawdziwie kolosalny, gdyż długość rozpostartych skrzydeł wynosiła dwa metry przeszło, zabity został przez podleśnego. Drugi zaś mniejszy, *aquila fulva*, postrzelony przez gajowego, zdołał ulecieć, nie długo jednak cieszył się życiem, gdyż w parę dni później zdybany został przez leśnego na zającu, którego pożerał. Leśny fuzyi nie miał, ale orzeł ranny widać w skrzydło nie mógł się zerwać dość szybko by ujść przed silnym razem kija, który go też trupem położył. Widać, że owe skrzydlate szkodniki dość licznie u nas goszczą, gdyż my sami posiadamy parę bardzo pięknych egzemplarzy wypchanych orłów, a każdy przy ponęcie u nas zabity. Lecz nietylko orły i jastrzębie spotkać można przy ponęcie, lisy z całego lasu idą na tę gotową biesiadę, szczególniej w czasie cieczki, gdy im się nie chce uganiać za zdobyczą. Wtedy urządzając małe nagonki w pobliżu ponęty, często wypłoszyć można lisa spoczywającego po uczcie. Ja sam polując tuż przy ponęcie na dziki w pierwszych dniach Marca, dzików w miocie nie zastałem, ale zabiliśmy dwa lisy psa i sukę, które podjadłszy sobie widać używały wczasu. Rzadkim staje się u nas lis, w zimie na polowaniach tylko jednego ubito. Zdaje się, że tępienie młodych lisów, które gajowi wiosną wykopują, bardzo się do zmniejszenia ich liczby przyczyniło, a może też deszcze i powodzie czerwcowe, zatapiając nory nisko położone, tak jak gniazda kuropatw, i młode lisy wyniszczyły, dość że w zimie na śniegu ledwie gdzieniegdzie ze śladem spotykałem się, chociaż przy ponowach bacznie za nimi śledziłem, a ubite lisy na zimowych polowaniach były wszystkie stare. Liczba innych szkodników leśnych powiększyła się stosunkowo dla braku ponowy, a przez to samo możności wyśledzenia ich kryjówek. Kuny, które używały spokoju w swych gniazdach na drzewach ukrytych, zwykle tropy swe na śniegu myśliwemu zdradzają. Wydry także i tak dość trudne do wytropienia, tej zimy śmiać się mogły z wszystkich poszukiwań, niezamarznięte stawy i rzeki, brzegi bez śniegu zapewniały im zupełne bezpieczeństwo. Polowałem w tym roku parę razy w Wieluńskim nad granicą pruską, i tam czuć się dawały skutki letnich niepogód, pomimo zbawiennego wpływu bliskiego sąsiedztwa cywilizacyi niemieckiej. Chociaż tych odwiecznych wrogów naszych kochać nie mogę, przecież jako prawy myśliwy przyznać muszę, iż pod względem sportu polowania gospodarują po mistrzowsku i taki u nich porządek, o jakim my tu pojęcia nie mamy. Jedno polowanie w Praszie muszę przytoczyć jako wyjątkowo dobre w tym roku: jednego dnia w 10 strzelb zabiliśmy 84 zajęcy, prócz sarn i cietrzewia, i to w lesie, nie na polnych nagonkach lub kociołkach polując; taka cyfra i wybrednych myśliwych z Księstwa Poznańskiego mogłaby zadowolnić.

*Witold hr. Potocki.*

---

Skwarzawa nowa 15. Marca.

Każdy myśliwy, gdy ucichną odgłosy strzałów i nagonki w kniei, zdaje sobie sprawę z odbytych polowań i reasumuje corocznie rezultat działania łowieckiego. Tak i tego roku, gdy minęły dni rozkoszy łowieckiej, każdy myśliwy zamykając swój kalendarzyk ubitej zwierzyny, będzie zmuszony przyznać ze smutkiem, że zawód go spotkał, że zwierzyny mało było i że rok ubiegły wcale nie odpowiedział nadziejom W czemże więc wina, pytamy, że stan zwierzyny tak słabo się podnosi, dlaczego w kraju w ogóle, a szczególnie w niektórych powiatach, łowiectwo tak powoli się rozwija? Zwykle otrzymujemy odpowiedź, że panowie starostowie nie przestrzegają z należytą sprężystością istniejących przepisów, że z należytą surowością i doraźnie nie karzą kłusowników, że nieoględnie wydają karty na broń, że nawet wydzierżawiają polowania gminne znanym kłusownikom, w ogóle, że nie przywiązują do łowiectwa tej doniosłości, na jaką ta gałęź gospodarstwa krajowego zasługuje. Prawda, że tak władze polityczne jak i sądowe nie starają się położyć stanowczo tamy tego rodzaju bezprawiom, lecz nie dzieje się to ze złej woli, ale z powodu, że panowie naczelnicy władz politycznych i sądowych nie będąc myśliwymi, nie mają przeświadczenia, jaką szkodę faktycznie czynią krajowemu łowiectwu i jakie błogie skutki przyniosłoby dla kraju sprężyste i surowe wykonanie przepisów łowieckich. Tam, gdzie na czele powiatu stoi starosta myśliwy, lub gdzie naczelnik sądu jest miłośnikiem polowania, jakoteż w powiatach, gdzie istnieją Towarzystwa myśliwskie, tam kłusownictwo znacznie się zmniejszyło, a stan zwierzyny w krótkim czasie bardzo się podniósł, albowiem w tych powiatach władza tak polityczna jak sądowa doraźnie i należycie przestępców karała i kłusowników z całą energią tępiła i prześladowała. Jestem więc tego zdania, że gdyby w każdym powiecie z członków Towarzystwa łowieckiego i adeptów chorągwi św. Huberta zawiązało się Towarzystwo myśliwskie i czuwało nad przestrzeganiem ustaw łowieckich, a swoim wpływem u władz wyjednało energiczne wykonywanie odnośnych przepisów, to z pewnością w całym kraju kłusownictwo poskromioneby zostało, a tem samem podniósłby się stan zwierzyny Tak np. Towarzystwo myśliwskie Żółkiewskie dużo już zdziałało w celu ścisłego przestrzegania ustaw łowieckich, bo zwróciło uwagę c. k. Starostwa na zgubne skutki zbytecznego zastosowania zasad humanitarnych i wrzekomego równouprawnienia na polu działań łowieckich, uprosiło oględniejsze wydawanie kart na broń i dopilnowało, że do licytacyi polowań gminnych nie były dopuszczone indywidua podejrzane o kłusownictwo lub nie dające dostatecznej gwarancyi, że ściśle ustaw łowieckich trzymać się będą. Starosta Żółkiewski wydał też za wstawieniem się naszego Towarzystwa myśliwskiego, co na tem miejscu z całem uznaniem podnosimy, okólnik do gmin, nakazujący ścisłe przestrzeganie przepisów i rozporządzeń łowieckich, w którym zabrania łapania młodej zwierzyny i wałęsania się psów po polach i łąkach, a znany ze swego zamiłowania do myśliwstwa naczelnik sądu energicznie do takich panów się bierze, którzy w zapale łowieckim zapominają, że nieprawne przywłaszczenie sobie zwierzyny z kodeksem karnym i niemiłym aresztem się spotyka. Prócz zawiązywania Towarzystw myśliwskich w każdym powiecie, uważałbym zaprowadzenie kart myśliwskich w kraju za dźwignię kultury łowieckiej. Wiadomo, że w Ka-

ryntyi i Krainie od roku 1852 i 1854, w Austryi Wyższej od roku 1855, w Austryi Niższej od roku 1862, a w Czechach i Morawii od roku 1866 są zaprowadzone karty myśliwskie, i to z najlepszym skutkiem i dodatniem znaczeniem dla gospodarstwa łowieckiego. Takie karty kosztują w tych dwóch ostatnich prowincyach 10 złr. na rok i nikomu, prócz straży lasowej, bez kart takich polować nie wolno. Do kas Wydziałów krajowych tych prowincyi wpływają corocznie znaczne fundusze, a w wiedeńskiej gazecie myśliwskiej wyczytałem, że Wydział krajowy w Morawii przeznaczył z dochodów kart myśliwskich 10.000 złr. na zakupno stadników, 10.000 złr. na zalesienia, 10.000 złr. na pomoc przy melioracyach rolniczych. Nie ulega wątpliwości, że zaprowadzenie kart myśliwskich w naszym kraju ogromnie by się przyczyniło do rozwoju łowiectwa i że taki fundusz byłby obfitem źródłem dochodów w celu wspierania innych gałęzi kultury krajowej. Miejmy nadzieję, że przyszły Sejm uchwali i dla nas ustawę zaprowadzającą karty myśliwstwa i że nasz Wydział krajowy użyje w znacznej części pozyskanych funduszów na zalesienie naszych piasków i stoków górskich, gdzie w powstających gajach mnoga zwierzyna zagnieździć się będzie mogła, a trąbka myśliwska nowe rozkosze łowieckie nam obwieści.

*Mieczysław Bużenin-Mniszek.*

# KRONIKA.

Pieniaki.

Dnia 17. Marca około godz. 1. w południe dano mi znać, że w jednym z rewirów, na dość gęstym, dziesięcioletnim, niskopiennym zapuście jest wilk objechany. Sam chory, nie wychodząc z pokoju, zebrałem ile mogłem ludzi, którzy mniej więcej widzieli w życiu strzelbę, i wysłałem ich na tego wilka. Pojechali: kucharz, kredencerz, chłopiec z kredensu, tapicer, kowal, mój stary służący niby strzelec, pasiecznik i nadleśniczy. Leśniczy rewirowy zebrał rębaczy z niedalekiego zrębu i ludzi, których tam zastał, około 60. Tak zwanych strzelców było razem wszystkich dziewięciu. Nadleśniczy, który ze mną już od dłuższego czasu poluje, rozporządził, ile można było, tak, aby miot zupełnie był zamknięty. Główna linia obstawiona była strzelcami, reszta miotu nagonką. W pół miotu, gdy już zające były widziane na linii, wyszedł wilk na mego strzelca, który strzelił do niego, jak twierdzi, tylko dlatego, aby go z miotu nie wypuścić. Po tym strzale wilk szedł wzdłuż linii myśliwych, jednak nie na strzał, i wyszedł na przeciwny bok strzelców, na tapicera, który go naturalnie chybił, raz tylko strzelając. Wtedy wilk uderzył prosto na nagonkę, ale trafił na rębaczy, którzy go siekierami i pałkami przyjęli i nie przepuścili. Wrócił więc znowu na linię myśliwych i trafił na chłopca z kredensu, który raz do niego strzelił. Wilk znowu uderzył na inną część nagonki, ale ta go także nie puściła. Wrócił tedy pierwszą drogą na tapicera, który do niego strzelił nie z lepszym jak poprzednio skutkiem. Wilk po raz trzeci rzucił się na nagonkę i znowu został odparty. Nakoniec zapewne mu się ta heca sprzykrzyła, bo wszedł w głęboką debrę, która ten miot przecina, i tą debrą skręciwszy potem na jej brzeg, wyszedł na nadleśniczego, który strzelił do niego raz w miocie, drugi raz na linii, poczem wilk zniknął w gęstwinie sąsiedniego miotu. Na miejscu strzału znaleziono kilka kropel farby, następnie objechano miot, w który wszedł, a ponieważ z niego nie wyszedł, wzięto ów miot. O dwieście może kroków od strzału znalazła nagonka wilka nieżywego. Miał lotkę za uchem, śróty w nosie, w boku i w przedniej łapie. Najedzony był niezmiernie sarniną z kościami i szerścią. Był to samiec przeszło ośmioletni. Długość wynosiła od nosa do nasady ogona 176 ctm., szerokość między łapami przedniemi 75 ctm. Sprawdziło się więc przysłowie:

Nosił wilk owce, nosił razy kilka,
Przyszedł czas wreszcie, ponieśli i wilka. *D.*

---

Olejów 16. Kwietnia.

Niemal każdoroczny ciąg ma swe odrębne cechy i jeden do drugiego niepodobny, do tego stopnia, że myśliwy chcący polować na podstawie z notatek i z zapisków złożonego programu, doznałby niejednokrotnie przykrych zawodów. W tym roku pomimo śniegów bielejących się w lesie i dokuczliwych przymrozków, pojawiły się dwie słonki 23go Marca, w innym lesie dwie, w trzecim cztery. W rewirze od pola znaleziono 28go siedem, 31go cztery, 2go Kwietnia przybyło jednej nocy dwanaście, w lesie obszernym było 3go dziewięć, 8go w krzakach ośm 10go w innych dwanaście, 12go nadleciało pięć, a 15go w 800 morgach ruszyliśmy cztery, ze smutnym wnioskiem o końcu ciągu uroczego ptaka, gdyż ziemia już się zielenią ubarwia. Otóż w tym ciągu ani stadka, ani rodziny, składającej się z sześciu ptaków, nie napotykaliśmy nigdzie w jednym miocie, siedziały parkami lub pojedyńczo, więc polowanie było wielce nużące z powodu licznych miotów branych na pojedyńcze ptaki. Co mnie mocno zadziwiło, to że liczne parki, pokazujące się od początku ciągu słonek do samego końca, widocznie w tym wyjątkowym roku poparowały się w podróży. Ciąg ranny i wieczorny tak odbywały ruchliwe i niespokojne ptaki: często mi donoszono, że widziano po kilkanaście słonek, a polując z nagonką ruszaliśmy 4—6ciu. Niejedenby przypuszczał, że te ciągnące słonki nad ranem powędrowały, lecz tak się nie działo, gdyż te, które nie udało mi się wybić, do dnia dzisiejszego siedzą w obranych miotach. Posiadam laski gęste i krzaczyste łąki, tam od wielu lat biliśmy słonki w znacznej ilości, w tym roku nie pojawiły się w ulubionych miejscowościach, lecz się trzymały zwartych zrębów większych lasów; przypisuję to panującym wiatrom i zimnej temperaturze. Z prawdziwem wysileniem zabiliśmy w trzy strzelby 60 słonek przy przykrem powietrzu i wielce utrudnionej komunikacyi. Na ciągu ubito dwie, a polowano z nagonką. Wiadomo, że słonka jak i kszyk broni się lecieć z wiatrem i w pierzu go nie znosi, zaś ustawiczne wiatry psuły nam mioty, gdyż najczęściej wypadało gonić na pole, a tam wzbraniały się słonki lecieć.

*Kaźmirz hr. Wodzicki.*

---

Majdan, Marzec.

Już od lat kilku dzierżawią włościanie polowanie gminne w Majdanie, Hucie Komorowskiej, Komorowie, Brzostowej Górze i Woli Rusinowskiej, konkurencya przy licytacyi jest wobec włościan niemożliwą, inni bowiem członkowie powyższych gmin zwracają dzierżawcy czynsz, w skutek czego może on licytować do sumy dowolnej. Czynią to włościanie jedynie dlatego, aby właścicieli obszarów dworskich nie dopuścić, a u dzierżawcy sąsiada polują wszyscy pod jego firmą. W takim stanie rzeczy liczba zwierzyny zmniejszyła się ad minimum, na obszarze mili kwadratowej pewnie na 50 morgach ledwie jednego zająca znaleść można, kuropatwy zaś, których tu dawniej bardzo wiele bywało, wyginęły ze szczętem, chociaż ja na mojem terytoryum od lat dziesięciu na nie nie poluję i wszelkimi sposobami staram się o rozmnożenie tej zwierzyny. Cóż dziwnego, włościanie polują wyłącznie prawie na wychodnego, siedzą wieczorami, a po śniegu w noc księżycową pod lasami i biją co wyjdzie, a poluje ich nieustannie kilkudziesięciu. Naturalnie o hodowli i szanowaniu zwierzyny nie ma mowy. Przestrzeganie ustawy także wiele pozostawia do życzenia. Dla przykładu przytoczę fakt, jaki się tu przed dwoma laty wydarzył. Leśny mój przytrzymał w moim lesie K. N., dzierżawcę polowania gminnego w Majdanie. Było to przed wschodem słońca. N. miał broń nabitą siekańcami. Zaskarżyłem go i po wielu zwłokach udało mi się wykołatać srogą karę, bo grzywnę 5 złr., odebraną strzelbę otrzymał N. napowrót i do dziś jest dzierżawcą polowania Majdańskiego. Wobec takiej bezkarności kłusownictwo musi kwitnąć, a przy takich dzierżawcach stan zwierzyny nigdy się nie podniesie. W bieżącym roku kończą się dzierżawy polowań w powyższych gminach, z których Komorów podał już do c. k. Starostwa w Kolbuszowy prośbę, by nowej licytacyi nie rozpisywało, lecz dotychczasowego dzierżawcę nadal utrzymało. Wobec takiego niebezpieczeństwa udaję się do sz. Wydziału Towarzystwa łowieckiego z prośbą o wyjednanie w drodze właściwej, by przy licytacyach ustawy o polowaniu jak najsurowiej były przestrzegane i aby do licytacyi tylko tacy byli przypuszczani, u których można mieć pewność, że o podniesienie zwierzostanu dbać będą, a takiej rękojmi żaden włościanin niezawodnie dać nie może.

*C. K.*

Z Wołynia.

Z zazdrością czytam w „Łowcu“ o świetnych rezultatach wypraw łowieckich w Galicyi. U nas niestety inaczej. Są okolice leśne, a zajęcy bardzo mało, sarny zaś stały się rzadkością. Czyja w tem wina? Sądzę, że nie nasza, jakkolwiek bowiem nie brak nam passyi myśliwskiej, to jednak nie nadużywamy tej uciechy. Właściwą przyczyną ubytku zwierzyny jest kłusownictwo, którem lud nasz jawnie się zajmuje. Chłopi, szczególnie odstawni żołnierze, uzyskują z łatwością pozwolenie posiadania broni. Kłusownikowi, mającemu takie pozwolenie, nie wolno odebrać broni nawet na obcem terytoryum, trzeba go pozywać przed władzę, o której rezolucyi w takiej sprawie wolę zamilczeć. Tak się dzieje na całym Wołyniu, nie wyłączając Piszczowskich lasów, zajmujących przestrzeń 10.000 dziesiatyn. Obcy kłusownicy wspólnie z niższą służbą leśną, uzbrojoną w broń myśliwską, wybijają wszelką zwierzynę, sprzedając ją w miasteczku Zwiahlu niemal za bezcen. Za sarnę czy to kozę czy rogacza płaci się rubla, za zająca 40 kopijek, głuszec kosztuje pół rubla. Zwierzyny dostać można w każdej porze roku, dostawą trudnią się żydzi. Wy Galicyanie ciesząc się porządnem i racyonalnem łowiectwem, wkrótce nam dostarczać będziecie zwierzyny. Tamy położyć naszemu kłusownictwu nie możemy, nie dozwólmyż przynajmniej naszej służbie leśnej tępić zwierzyny. W niektórych miejscowościach odebrali już właściciele broń swoim leśnym i pobereżnikom, dziwne, iż zarząd lasów Świszczowskich pozostawił broń palną u swej służby leśnej niższego rzędu. Odpowiedniejby było broń palną zastąpić oszczepem lub dzidą, dostatecznemi do odstraszania wszelkiego rodzaju szkodników.

*Z.*

---

„Korespondent Płocki“ z d. 14. Marca donosi: „Na benefis p. Łaskiego wystawione będzie długo oczekiwane „Polowanie z nagonką“ p. Aleksandra Nitkowskiego (Godzisława Sulicza), które budzi niezwykłe zaciekawienie.“ — Radzibyśmy bardzo poznać ów utwór dramatyczny, osnuty na tle czysto myśliwskiem. Możeby autor zechciał ogłosić go w kolumnach „Łowca“, w takim razie pragniemy porozumieć się z nim w tej sprawie i prosimy sz. Redakcyę „Korespondenta Płockiego“ o łaskawe pośrednictwo.

---

Znając od lat 24 stosunki państwa Dębickiego, wiedząc, ile majątek ten zyskał na wartości, osobliwie w ostatnich latach, nie mogę milczeniem pominąć publicznie wyrządzonej krzywdy korespondencyą pana T. w Marcowym numerze „Łowca“. Czytając korespondencyę p. T., mogło niejednemu z szanownych czytelników się zdawać, że czyta wstęp do jakiegoś romansu, zaczyna bowiem p. T. od zefirka igrającego suchymi listkami, bawi się modremi falami Wisłoki i t. d., wnet jednak następuje rozczarowanie, bo ktokolwiek zna stosunki państwa Dębickiego, łatwo pozna, że p. T. ulegając widocznej a nieusprawiedliwionej niechęci do administracyi skarbu Dębickiego, w najgorszem świetle ją przedstawił. Chcąc sz. p. T. i przez niego w błąd wprowadzonych czytelników „Łowca“ o właściwym stanie rzeczy objaśnić, powiem, że zręby roczne lasu szpilkowego przynoszą 600—700 złr., liściastego zaś 500—600 złr. z morga, posiada zatem skarb Dębicki prawidłowo cięte lasy, przyczem nadmienić muszę, że pan T. tak dokładnie ze wszystkiem obznajomiony, iż wie nawet o rezultacie dwóch polowań niepomyślnym z powodu niesprzyjającego powietrza, a zapewne też zamiłowany leśnik, kiedy z żalem rozprawia o wyrąbaniu 100letnich sosen, powinien też wiedzieć, że lasy w skarbie Dębickim rąbią się prawidłowo i prowadzi się wzorowe gospodarstwo, czego dowodem naturalne i sztuczne, pięknie utrzymane młodniki. Nie zaprzeczam, że może skarb Dębicki traci część dochodów, co zawdzięcza szanownym sąsiadom. Tyle co do lasów w „Łowcu“, resztę swych uwag w tym przedmiocie raczy szan. korespondent umieścić w „Sylwanie“.

Przyznaję, że dawniej było w skarbie Dębickim wiele zajęcy, sarny zaś poczęły się rozmnażać dopiero od r. 1861 dzięki hr. R. z P., przedtem była tu sarna rzadkiem zjawiskiem, a w danym razie polowano na nią jak na wilka z obławą. Od r. 1861 podniósł się też znacznie stan kuropatw, a dziś sąsiednie majątki zawdzięczają skarbowi Dębickiemu posiadanie sarn, które niestety tępią bez litości. Jeżeli stan sarn i kuropatw dziś jest pomyślnym w skarbie Dębickim, czyż to nie jest zasługą administracyi lasowej, czuwającej nad ochroną nietylko lasów, ale też zwierzyny. Szanowny pan T. niezasłużoną wyrządził krzywdę pełnomocnikowi panu P., który lubo nie myśliwy, starannie i umiejętnie ochrania zwierzynę, czego dowodem, że kazał wszystkie graniczące polowania gminne brać w dzierżawę na rzecz skarbu, że naznaczył nagrodę 5—10 złr. za odebranie strzelby kłusownikowi, że oznaczył strzałowe za ubite drapieżne zwierzęta. Jeżeli komu robi grzeczność i pozwala polować, to już nie jego winą, jeżeli który z tych myśliwych niesumiennie korzysta z tego pozwolenia. Brak zajęcy wynika z powodu nieracyonalnego polowania dzierżawców, wreszcie zagajenia się podniosły, więc zające nie mają należytego schronienia wobec niekompetentnych myśliwych. Co do zarzutu wykarczowania remiz, nadmienię, że wykarczowano je dla wyrównania pola dawniej już wykarczowanego. Dodam jeszcze, że hr. R., właściciel Dębicy, utrzymuje jelenie i daniele nie dla korzyści, lecz w celu ozdobienia parku. Kończąc zwracam uwagę sz. sąsiadów skarbu Dębickiego, aby raczyli postarać się o takie krzaki, jakie ten skarb posiada, i tyle poświęcić starań łowiectwu, ile skarb Dębicki, a wtedy poszczycą się równie świetnym rezultatem i nie będą mu przeszkodą w działaniu prawdziwie pożytecznem.

*J. Błażyński.*

---

Wys. c. k. Namiestnictwo zaleciło Starostwom czujność nad ścisłem przestrzeganiem ustawy łowieckiej, jakoż pp. Starostowie wzięli się z energią do wytępienia zakorzenionego u nas kłusownictwa. Szczególnie konfiskata broni była skutecznym środkiem powstrzymania ludu naszego od tego karygodnego rzemiosła. Broń ta bywa zwykle sprzedawana na publicznej licytacyi, a uzyskana kwota idzie na korzyść miejscowych ubogich. Zdawałoby się, że nie można inaczej postąpić, a jednak przyczynia się taka licytacya do szerzenia kłusownictwa, przechodzi bowiem owa broń napowrót w ręce kłusowników, którzy albo sami nabywają ją za bezcen, lub za pośrednictwem żydów, znanych promotorów wszelkiego bezprawia, przynoszącego im korzyść. Broń ta jako nader licha małego dochodu dostarcza funduszowi ubogich. Sądzę, iż najodpowiedniejszem byłoby łamanie lufek na tak zwany „bruch“ lub przepiłowanie ich w kilkucalowych odstępach, iżby z nich nawet lufek pistoletowych nie można było zrobić. Kawałki te nie stracą wartości, kowale bowiem wiejscy sporządzają z nich wyborne kłódki. Zwracam uwagę sz. Wydziału Towarzystwa łowieckiego na to licytowanie konfiskowanej kłusownikom broni, upraszając, by raczył się przyczynić do zmiany tego złe skutki przynoszącego zarządzenia.

*G.*

---

Wiele znamy sposobów, którymi kłusownicy chwytają zwierzynę łowną, tak czworonożną jakoteż skrzydlatą, ale nie każdy myśliwy, nie każdy nawet kłusownik zna sposób łowienia słonek, znany tylko w Czechach, Morawii i na Szląsku. Słonki, jak wiadomo, żerują tylko w dzień, o świcie i przed wieczorem. Na wiosnę, gdy o żer jeszcze bardzo trudno, a nawet w porze jesiennego ciągu, zwykły słonki żerować po halawach lub ścieżkach leśnych, tam bowiem najwięcej bywa owadów różnorodnych, a glisty i dżdżownice niemal wyłącznie przebywają na niezbyt utartych lecz dość twardych drogach lub ścieżkach. Tam też słonki najchętniej żerują, o czem wiedząc kłusownicy, obstawiają owe ścieżynki mnóstwem kabłączków, z mocnemi, z czterech lub pięciu włosieni końskich splecionemi sidełkami. Na halawkach zarośniętych trawą, na łąkach i świeżych zrębach gracują czyli strużą sztuczne ścieżynki, spulchniając nieco ziemię. Do takich miejsc złażą się rankiem i wieczorem, nie znosząc promieni słonecznych, owady wszelkiego rodzaju. Nie ma ptaka mniej ostrożnego i bardziej łatwowiernego jak słonka, skoro spostrzeże taką ścieżynkę, wnet bieży wzdłuż niej za żerem i zadzierżga się w kulce sidlanej. Kłusownicy dwa razy odwidzają miejsca sidłami obstawione w celu zbierania złowionych słonek, nocą przy blasku latarni lub około godziny 10tej przed południem, gdy słonki już ciągnąć czyli żerować przestały. Tym samym sposobem chwytają kłusownicy w miesiącach Lipcu i Sierpniu, zwłaszcza gdy rok posuszny, chruściele (derkacze). Znam Galicyę i wszystkie niemal fortele kłusownicze, wyżej opisanego jednak sposobu chwytania słonek używał tylko ów kulawy Wasyl, którego opisałem w artykule umieszczonym w „Łowcu“ p. t. „Na błotach bełzkich“. W Czechach jest on powszechnie przez kłusowników używany. Pomimo licznej i czujnej straży leśnej i polowej, czynią tam kłusownicy owemi sidłami w czasie wiosennego ciągu ogromne spustoszenia w słonkach, a w lecie nie mało też łowią chruścieli.

*U.*

---

Kołomyja 3. Kwietnia.

Dewiza Monarchy naszego „Viribus unitis“ stworzyła wiele różnych Towarzystw, a śród nich i myśliwskich. Tylko Kołomyjskie Towarzystwo myśliwych trafiło przy zawiązywaniu się na przeciwników tej dewizy, gdy jednak mimo tej opozycyi Wys. c. k. Namiestnictwo reskryptem z d. 6. Stycznia 1884 L. 647 oznajmiło, że nie ma nic do zarzucenia statutom Towarzystwa myśliwych w Kołomyi, ukonstytuowało się ono na ogólnem zgromadzeniu d. 5. Marca b. r. i na mocy §. 13. statutów wybrało z grona swego Wydział, mianowicie: prezesa Alfreda Zoffala, zastępcę prezesa Honorata Sendzimira, członków Emila Stechera i Jana Kovatsa, zastępców Józefa Domażka i Kaliksta Winnickiego, sekretarza Emila Filousa. Skład Wydziału podano do wiadomości c. k. Starosty. Celem Towarzystwa jest wykonywanie łowiectwa na podstawie ścisłego przestrzegania ustaw obowiązujących, dzierżawienie okolicznych obszarów gminnych ewentulnie dworskich i kameralnych w okręgu dwumilowym. *Kołomyjskie Towarzystwo myśliwych* uprasza o wpisanie go w poczet członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Zastępca prezesa: *Honorat Sendzimir.* Sekretarz: *E. Filous.*

---

Z pod Kańczugi.

Kolegów moich w św. Hubercie zapewne zaciekawi wypadek, jaki mi się wydarzył 17. Marca b. r. Posiadłość moja tak jest położoną, że po jednej i po drugiej stronie w odległości półmilowej przytykają laski sąsiedzkie, nie mające więcej jak po 200 morgów obszaru, niby remizy większe, pełne zajęcy, sarn i lisów. Furman mój przejeżdżał po południu konie na polu i wziął ze sobą małego ratlera. Zaraz za ogrodem spotkał lisa, który widząc małego pieska, bez obawy zaatakował go i nie umknął nawet wtedy, gdy furman nań koniem natarł. Służący widząc tak śmiałego lisa, dał mi o nim znać. Wyszedłem ze strzelbą na niego, choć ustawa teraz nie pozwala polować na lisy, bo mi w kurnikach ogromnie drób tępią. Zaledwo kilka kroków przez ogród postąpiłem, słyszę wrzawę między drobiem koło oficyn, zwracam się w tę stronę i widzę lisa uganiającego między ptactwem. Pędzę za nim, on obiega całe podwórze tak blisko koło bud psów, iż jeden z nich zrywa łańcuch i pędzi za lisem w ogród, ale spostrzegłszy mnie ze strzelbą, cofa się. Mykita idzie lekkim truchtem, widocznie lekceważąc mnie, moją strzelbę, psy i ludzi, którzy ze mną byli. Ratler pomyka za lisiurą, chwyta go za kitę, lis się obraca, staje na tylne łapy, a przedniemi łapami tak jak młody kotek, gdy igrając zabawkę łapie, usiłuje psa chwycić. Pies ucieka, lis za nim goni, ale zwinny ratler szybko pomyka. Mykita goniąc go zbliża się do mnie na strzał, którym go trupem kładę. Rzadko to się zdarza, iżby lis, tak zwykle przezorny i ostrożny, zjawił się o godzinie 4tej po południu daleko od lasu między budynkami gospodarskimi. Sądziłem, iż głód lub wścieklizna go do mnie przygnały, ale po zdjęciu skóry przekonałem się, że był zupełnie zdrów i najedzony. Według mego zdania musiał on już nieraz robić taką wyprawę na drób, a że mu się to zawsze udawało, stał się zuchwałym nawet wobec zagrażającego mu niebezpieczeństwa i nietylko drób atakował, ale nawet ratlerem pragnął się uraczyć. Był to stary lis, z tylną łapą przestrzeloną, piszczelem złamanym i zrośniętym. *Z. W.*

---

Z Tarnowskiego.

Lichwin, w okolicy Tuchowa w powiecie Tarnowskim położony, ma obszaru 3000 morgów, z tych około 1000 morgów lasu. Brak mu wprawdzie dróg, kościoła, szkoły, ale włościanie są moralni i pracowici, kłusownika nie ma w całym Lichwinie. Ponieważ w gminach Siemiechowie, Lubience, Plesnej i Łowczówku, położonych u podnóża Lichwina górnego, bywa zwierzyna w najnieoględniejszy sposób tępioną i prześladowaną, więc chroni się ona na obszary Lichwińskie, gdzie jej p. Sroczyński, właściciel Lichwina, lubo niemyśliwy, najstaranniej pobyt zabezpiecza. Ale niestety sąsiedzi poszukują swej wyemigrowanej zwierzyny nawet w lasach Lichwina, z tego powodu nie ma jej tam tyle, ileby być mogło. Po trzech latach starannego strzeżenia polowania, pragnąc zbadać stan zwierzyny w lasach Lichwińskich, polowaliśmy w Styczniu w trzy strzelby i 10 nagonki, i ubili w 6 godzinach 2 rogaczy, 7 zajęcy, 1 lisa i 8 kuropatw na obszarze 200 morgów „Wielkiego działu“. Bylibyśmy więcej zabili, ale dziki zabrali nam dwie godziny czasu. Było dzików sztuk 15, jednego tylko postrzelono ciężko, aleśmy go nie dostali. Znam tu wiele miejscowości, mających obszaru polowania 6 do 8 tysięcy morgów, a w trzech dniach polowania, przy największej łasce św. Huberta, w kilkunastu myśliwych padnie zaledwo kilka strzałów. Jakaż tego przyczyna? Niezawodnie nieoględne i nieracyonalne traktowanie myśliwstwa. *Wiktor Charleski*, leśnik.

---

Pantalowice 7. Kwietnia.

Już dość dawno strzelby nasze na kołkach, w futerałach lub szkatułkach, i teraz dopiero spostrzegamy, żeśmy sz. Redakcyi nie dali jeszcze znaku życia w tym roku. *Il vaut mieux tard que jamais*, ale też tylko w ścisłem tych słów znaczeniu, dla dania znaku życia odzywamy się do tak nam wszystkim miłego „Łowca“ dla zamanifestowania, że skromne nasze towarzystwo żyje, że drużyna nie rozpierzchła się, owszem cokolwiek liczbą towarzyszy liczniejsi jesteśmy i terytoryum nasze myśliwskie nie mniejsze, więc dlatego jedynie tych słów kilka sprawozdania przesyłamy, bo zresztą trofea nasze z ostatniej kampanii bardzo szczupłe. Zajęcy w tym roku jak wszędzie tak i u nas było mało, a to główna i prawie jedyna zwierzyna na polach i obszarach bezleśnych, obręb Towarzystwa stanowiących. Siedm razy tylko wyszliśmy w pola w tym trzecim roku od zawiązania się grona naszego, a podczas tych dni padło: zajęcy 142, lisów 6, słonka i kuropatwa, razem sztuk 150 na 433 strzałów. Podkreślamy lisy, a nie potrzebujemy się rozwodzić nad doznanemi wrażeniami, gdy dodamy, że wszystkie były w kociołkach, że nam nieustanną emocyę sprawiały, dopóki nie padły. Każdy myśliwy myślą sobie dopowie więcej, niżbyśmy nie posiadając pióra ani werwy hr. W. opisać potrafili. Dozorcy nasi ubili szkodliwych sztuk 307, a to: psów 21, kotów 34, jastrzębi 17, srok i wron 235.

Z Pruchnicko-Kańczudzkiego Towarzystwa myśliwskiego.

*K. Scipio.* *W. Bzowski.*

---

„Korespondent Płocki“ z d. 19. Lutego umieścił korespondencyę „z Rypińskiego“, w której czytamy: „Serwitut na polowania nigdy nie istniał i istnieć nie może, samowolnie jednak przyznają go sobie niektórzy włościanie, całemi bandami nachodząc nieraz grunta dworskie. Podobną bandę udało się schwytać w dominium P. i to wraz z upolowanymi zającami. Przewinienie było poczwórne: 1. polowanie bez biletu na nie od władzy i właściciela, 2. posiadanie broni bez pozwolenia władzy, 3. kradzież (zwierzyny), 4. najście gruntów i deptanie zasiewów. Sąd z powodu nieobecności odpowiednio surowego paragrafu nie mógł poważniej ukarać, mała zaś kara zrobi złodzieja i amatora tylko ostrożniejszym. Stara to rzecz i wiadoma, że zwierzostan z każdym rokiem u nas maleje, ucieszyła nas przeto wiadomość, że ministeryum dóbr państwa nad tą kwestyą opiekę rozszerza. Lecz jak wobec rozmaitych miejscowych stosunków wszystkie gospodarstwa rolne podług jednego szablonu zorganizowane i prowadzone być nie mogą, tak i ochrona zwierzostanu przy rozmaitych warunkach jednym i jedynym prawie paragrafem prowadzoną być nie może. Mowa tu o wzbronieniu polowania z nagonką. Chwalebnym zwyczajem od Niemców pożyczonym, strzelamy w jesieni tylko kuropatwy i inne ptaki, zające zaś ochraniamy na zimę. Wtedy dzień właściwy upatrzywszy, zaprasza się kilku lub kilkunastu sąsiadów na polowanie z nagonką. Następnie idzie kolej na drugiego, trzeciego i t. d., zamiast więc samemu łazić po swoich polach, czyż nie lepiej być na kilkunastu dobrych, licznych i wesołych polowaniach? Ręczyć można, że na takiem polowaniu pada mniej jak czwarta część zwierzyny, a że zwierzyna rocznie średnio się potraja, muszą więc być inne zmniejszające zwierzostan przyczyny. Trzy z nich przytoczę: 1. brak ostrych kar, tępiących kłusownictwo, 2. serwitutowe spacery po lesie i polach z hordami kundlów, 3. ogromna ilość nieprawnie trzymanych chartów, ogarów. Usuńmy je, a zwierzostan będzie tak obfity, jak w sąsiednich Prusach, gdzie jednak tylko z nagonką polują. Poważnych okazów rogaczy nie posiadamy, zwierzyna nasza jest polną, wobec czego wypłaszanie nie ma znaczenia. Gdyby wzbronienie nagonek i u nas było przeprowadzone, to skutek byłby wprost przeciwny, zwierzostan by się zmniejszył, pozbawieni bowiem przyjemności polowania i szczycenia się ilością zaoszczędzonej zwierzyny, zaniechalibyśmy utrzymania odpowiedniej liczby energicznych gajowych, polowych. Przy naszych więc warunkach to gdzieindziej mające racyę bytu postanowienie, u nas byłoby tylko zaprzeczeniem praw własności na korzyść tych klas, które albo nic albo zbyt mało dostały ziemi, aby miały na czem polować.

*B.*

---

*Świstak w Tatrach* był przed laty dwudziestu już bliski zupełnej zagłady, rozrodził się jednak znowu w skutek ochrony przez ustawę z dnia 19. Sierpnia 1869 r. i gorliwych strażników do ochrony ustanowionych i rozszedł się rodami z Tatr węgierskich do polskich, w których ongi po nim od dawien dawna pozostały tylko budowy jakby cmentarzyska i nigdzie jego gwizdania usłyszeć nie było można. W roku 1881 było już po jednem gnieździe świstaków: a) pod Krzyżnem w dolinie Waksmundskiej, gdzie je widziano d. 6. Czerwca po wyjściu z legowiska zimowego; b) w dolinie Pańszczycy koło Żółtej Turni; c) w Gąsienicowych Stawach na Zmarzłem, d) w Walenkowej pod Świnnicą po

stronie węgierskiej, ale blisko naszej granicy; e) w dolinie Rozpadła pod Czerwonym Wirchem, również blisko naszej strony; f) w dolinie Mała Łąka nad Polaną; g) za Mnichem u Rybiego po naszej stronie; zaś brakowało ich jeszcze w dolinie Pięciu Stawów, dokąd mogą zajść od Krzyżnego lub Walentkowej. Tuż po węgierskiej stronie były rody w dolinach: Wielka, Batyrowiecka, Pięć Stawów, Mięguszowiecka, Szczyrbska, Solińsko, pod Krywaniem, w Rohaczach i t. d. Więc turyści tatrzańscy mieli sposobność zobaczyć świstaka lub przynajmniej usłyszeć go gwizdżącego, co im w martwych i głuchych pustyniach turni przyjemność sprawiało, z której to przyczyny honorowali nieraz przewodników za pokazanie im świstaka lub kozicy. Obecnie jednak po polskiej stronie niestety znowu zaczynają prześladować swistaka, wygrzebując z legowisk całe rody w śnie zimowym pogrążone i dlatego ratować się nie mogące. I tak wachmistrz żandarmeryi w Nowym Targu p. Jabłoński wyśledził d. 3. Listopada w Zakopanem kłusownika Michała Srokę z Ratułowa, odebrał mu jednego świstaka, skonfiskował drugiego przezeń sprzedanego w Poroninie i obydwa złożył w starostwie w Nowym Targu dla ukarania przestępcy. Fakt ten zdaje się dowodzić, że sadła świstaczego nie przestano używać jako domowego leku, a oszuści kupują świstaka, aby wyzyskiwać urojenie górali, co nie powinno być cierpiane. Dalej każe on przypuszczać, że teraźniejsi strażnicy, których Towarzystwo Tatrzańskie utrzymuje do ochrony kozic i świstaków, wcale nie grzeszą służbistością, ani też zamiłowaniem sprawy, i co jeszcze stokroć gorsza, przed swemi oczyma dozwalają nosić i sprzedawać, aż dopiero żandarm kłusownika wyśledził i przytrzymał.

*(Gaz. Nar.)*

---

*Łosoś.* Celem zarybienia wód górnej Wisły w r. 1884, niemieckie Towarzystwo rybackie udzieliło krakowskiemu aż 400.000 ikry łososia wartości 2213 marek czyli 1328 złr. w. a., mianowicie 70.000 łososia dunajcowego z Poronina, a 330.000 reńskiego z Selzenhof i Hüningen. Z tej ikry przyjęły na wychów: a) rybiarnia arcyks. Albrechta w Wisłach na Szląsku dla źródłowisk Wisły 100.000; b) rybiarnie arcyks. Albrechta w Kamesznicy, Żabnicy i Sopotni w państwie żywieckiem dla rzeki Soły 100.000; c) rybiarnia hr. Branickiego w Suchy dla rzeki Skawy 100.000; d) oddział Tow. ryb. w Myślenicach dla rzeki Raby 65.000; e) rybiarnia Doruli w Poroninie dla Dunajca 5000; f) rybiarnia baronowej Wattmann w Rudzie dla Sanu 30.000. Ikra przebyła szczęśliwie transport daleki i długo, bo przeszło 6 dni trwający, co się zawdzięcza raz wzorowemu opakowaniu, a powtóre uprzejmej względności urzędu cłowego dla przechodzącej żywej ikry, za którą niech mu będą najszczersze dzięki. Życzymy więc tylko jeszcze pomienionym rybiarniom, aby z Bożą pomocą szczęśliwie dokonały wychowu i rozpuszczenia łososiąt ku dobru pospolitemu. W Wisłach już się wylęgły łososie dunajcowe, a p. Karbasch chwali je, że są żwawsze od reńskich. Dla Popradu czyli Popradu lwowska dyrekcya lasów i domen poleciła zarządowi w Muszynie, aby urządził w tamtejszym traczu rządowym wylęgarnie do wychowu ikry łososia; jest więc nadzieja, że na przyszłość ta piękna rzeka będzie zarybianą swojskimi łososiami, zamiast obcymi. reńskimi.

Następnie udzieliło niemieckie Towarzystwo rybackie jeszcze 2000 ikry cennego amerykańskiego gatunku *Salmo fontinalis*, które pstrągarnia hr. Artura Potockiego przyjęła na wychów w czystej krwi pospołu z narybkiem zeszłego roku uzyskanym; prócz tego chciało obdarzyć takąż ikrą p. Aleksandra Gostkowskiego w Tomicach, który jednak musiał odmówić przyjęcia z powodu, że nie ma jeszcze osobnego stawu rozporządzalnego oraz przysposobionej wylęgarni. Ofiarowanej przez p. Bornego ikry sieji dla jezior tatrzańskich, Towarzystwo rybackie po upadku wszystkich trzech swoich oddziałów nad Dunajcem nie miało komu powierzyć, więc też nie przyjęło, tak samo ikry troci dla Wisły od p. Stemana w Rendsburgu, która to wędrowna ryba zresztą trzyma się tylko dolnej Wisły, a nie sięga górnej w Galicyi, dokąd dochodzą np. łosoś, jesiotr, węgorz.








Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.